MARZENIA SOLARNE

ANTOLOGIA

JACEK HUMMEL

Niniejsza praca jest dostępna na licencji
Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe

Warszawa, 2021

Przedmowa

Ostatni rok 2021 spędziłem na tłumaczeniu serii książek antyautorytarnych, antypatriarchalnych, antykapitalistycznych, słowem anarchistycznych. Serię nazwałem „Czarna Flaga", bo jak napisał pewien Autor . . . *a nad jej głową i ponad jej armią, dzielnie łopocze czarna flaga, na które nic nie jest zapisane* . . .

Praca tłumaczenia świetnie mi pokazała, co się dzieje za kulisami powieści. Dlatego doświadczony, gotów, by zakończyć pewien etap, zdecydowałem, żeby wrócić do wczesnych opowiadań i je przeredagować, przerobić, ulepszyć.

Wynik, wersję 2.0., przedstawiam doświadczonym czytelniczkom pod ocenę.

Jacek Hummel

Warszawa, sierpień – grudzień 2021 roku.

Interstellar Workers of Wide World Web

Zoe westchnęła głęboko i zamknęła ebooka na ekranie. Poprawiła się w fotelu. Spojrzała na główny monitor, który pokazywał tysiące punktów, niektóre oznaczone kolorowymi napisami. Obraz z kamer zewnętrznych statku kurierskiego „Stanisław Brzozowski" był zachwycający. Wyglądał niczym sen astronoma, potężny, jeszcze bliski Saturn z pierścieniami, tysiące kolorowych punktów – gwiazd – na ciemnej tkaninie nieba, oraz dziesiątki poruszających się i migoczących świateł pomarańczowych i czerwonych innych statków kosmicznych.

Wyciągnęła się w fotelu i spojrzała na klasyczny biały sufit pomieszczenia. Westchnęła raz jeszcze.

– Sokratesie – powiedziała głośno Zoe.

– Słucham – odpowiedział Sokrates, główny system statku kosmicznego „Stanisław Brzozowski".

– Ile jeszcze czasu będziemy iść na tę stację na Ceresie? – zapytała Zoe.

– Pytałaś się o to już dzisiaj kilkanaście razy – powiedział Sokrates – Może wyświetlić Ci licznik na ekranie?

– Nie, po prostu mi się nudzi – odparła Zoe.

– Hmm, zostało nam jeszcze trzydzieści godzin nieważkości,

a potem jeszcze cztery godziny decelaracji – z wyraźnym znużeniem odpowiedział Sokrates.

– Wiesz, nie musisz się obruszać od razu – powiedziała Zoe. – Ale przynajmniej dostarczymy te części na czas – dodała po chwili zastanowienia.

– Przepraszam – powiedział Sokrates – Wydawało mi się, że taka podróż nigdy nie była dla Ciebie trudna, w końcu na co dzień też jesteś sama.

– Spadaj – zimno odparła Zoe – Idę zrobić sobie obiad.

Jadalnia statku nie była zbyt duża. Kilka osób załogi, gdyby można było zebrać tyle chętnych osób do pracy w głębokim kosmosie, mogło tam w miarę wygodnie jadać i odpoczywać. Zoe przygotowała swój ulubiony, prosty obiad.

Ostatnio proste obiady zdarzały się zbyt często. Nałożyła sobie na czystszą z brudnych misek makaron z tofu i warzywami. Jedzenie, jak na posiłek błyskawiczny, było nawet za dobrze doprawione, za ostre, ale zapewniało wszystkie składniki. Ale było już nudne.

– Otrzymałaś nową wiadomość – odezwał się Sokrates.

Zoe w podnieceniu odłożyła łyżkę na miskę. Przełknęła.

– Och, od kogo? Powiedz mi proszę, powiedz – spytała Zoe.

– Oddział saturniański IWWWW – odparł Sokrates.

– IWWWW? Robotnicy Informacji World Wide Web? – zapytała się Zoe. – Wiadomość dla mnie? Zaszczyt, naprawdę. Czego mogą chcieć ci władcy meshu, Interstellar Workers, he he, od prostej kurierki jak ja?

– Mam ją przeczytać czy streścić? – odpowiedział pytaniem na pytanie Sokrates.

– Hmm, obiad, wiadomość... wyślij mi na czytnik – zdecydowała Zoe.

Zoe przerwała obiad, przyniosła czytnik i jedząc, zaczęła czytać. Nie spieszyła się. To był bardzo nudny lot, nawet jak na standardowe zlecenia kurierskie, a to mogło być rozrywką.

Wiadomość przedstawicieli związku zawodowego na Saturnie była formalna i precyzyjna. Zoe została wybrana, ponieważ poruszała się jednym z najbliższych statków wobec statku kosmicznego „Kirke". „Kirke" była lodowcem, pchała potężne ładunki lodu, węglowodorów i metali do klientów w Pasie Asteroid lub nawet dalej.

Ewentualna zmiana kursu była energetycznie najtańsza.

Przewodniczący oddziału saturniańskiego zwracał się z prośbą o spotkanie z „Kirke" i weryfikację zgłoszenia o istnieniu tam nowej sztucznej inteligencji. W zamian IWWWW zapłaci za dodatkowe opóźnienia i ewentualne szkody. Zadaniem Zoe było przeprowadzenie testów kwalifikujących sztuczną inteligencję jako świadomą. Testy – pliki terabajtowe – były załączone do wiadomości.

Zoe pomyślała, że rozrywka sama jej wpadła w ręce. Zamiast nudnego lotu, będzie coś robić. Znowu poczuła, że krew z podniecenia zaczyna szybciej krążyć jej w żyłach.

– Muszę się przygotować – powiedziała Zoe na głos – Sokrates, ile mamy czasu?

– Korekta lotu i dotarcie zajmie około dwunastu godzin – odpowiedział Sokrates. – Czy to oznacza, że przyjmujemy zlecenie? – dla pewności dopytał Sokrates.

– Ależ nie, musimy przecież dostarczyć te zapasowe części pompy na Ceresa, bo przecież nie mają jeszcze pięciu zapasowych – ironicznie odpowiedziała Zoe – Oczywiście, że bierzemy to zlecenie, będzie super! – dodała entuzjastycznie.

Jedenaście i pół godziny później Zoe stała przy śluzie powietrznej. Starannie przygotowała się do spotkania. Ubranie wyjściowe

– spodnie i bluza typu surdut w kolorze mocnego błękitu – leżało świetnie na jej figurze. Surdut wyglądał bardzo profesjonalnie i aseksualnie. Kolor surduta komponował się świetnie z jej krótkimi czarnymi włosami. Jeszcze raz spojrzała na czytnik, w obrazie czytnika zobaczyła pewnego siebie, jeszcze młodego, ciekawego świata człowieka.

Ani „Kirke" ani „Brzozowski" nie były wyposażone w tunel pozwalający przejść swobodnie pomiędzy statkami. Dlatego też Zoe zdecydowała się wykorzystać na kulę.

Jeszcze dwieście lat temu wszyscy korzystali z osobistych skafandrów, dopasowanych do wzrostu i figury. Rozwój technologiczny upowszechnił kule kosmiczne.

Teraz Zoe po prostu weszła do wielkiej przezroczystej kuli z plastiku – wzmacnianego, osłaniającego przed promieniowaniem – przez wielkie rozcięcie, które zostało automatycznie zasunięte i się uszczelniło. Usiadła w plastikowym przezroczystym miękkim fotelu i wgrała parametry lotu z czytnika. Kula odepchnęła się od „Brzozowskiego" i krótkimi uderzeniami pary, która powstawała z łączenia wody utlenionej i nadmanganianu potasu, skierowała się ku „Kirke".

„Kirke" była lodowcem. Wyglądała jak maczuga. Szeroka na początku, zwężała się ku końcowi. Na wąskim końcu umieszczono silniki pchające całą maczugę. Sam ładunek, lodu, przetworzonych minerałów i środków chemicznych, zamrożony, zajmował najszersze fragmenty tej maczugi. Na powierzchni całego statku migały diody systemów. „Kirke" musiała się obracać, aby uniknąć stopienia się lodu. Zoe musiała przesunąć się na słoneczną część „Kirke,,, gdzie teraz znajdował się luk pasażerski.

Zoe przeszła do śluzy „Kirke", gdzie oczekiwał na nią komitet powitalny.

– Witam Panią na moim okręcie, nazywam się Michel Branicky

i jestem kapitanem Kirke – powiedział ładnie pachnący mężczyzna w średnim wieku, ubrany w brązowy surdut. – A oto mój informatyk, Feliks, przyczyna całego zamieszania – dodał, wskazując wypielęgnowaną, na lodowcu, dłonią na ciemnowłosego młodego mężczyznę ubranego w miarę czysty kombinezon roboczy.

– Dzień dobry, Zoe całkowicie wystarcza – odparła Zoe.

– Doskonale – powiedział Michel – zapraszam do mojej kabiny, gdzie będziemy mogli w komfortowych warunkach porozmawiać.

Kajuta kapitańska na „Kirke" była luksusowa. Jak na statki tej wielkości, musiała powstać z dwóch lub trzech standardowych kajut. Metalowe ściany były pokryte kolorowymi farbami w nietypowych odcieniach fioletu i zieleni. Niektóre meble wyglądały na bardzo stare. Były wykonane z drewna, zamiast z polimerów. Kajuta przypominała wystrojem Zoe klasyczne filmy sprzed dwustu lat.

W kajucie Zoe usiadła na jednym z foteli, Feliks usiadł na krześle, a Michel podszedł do komody.

– Napijesz się wina, Zoe? – zapytał Michel.

– Nie, dziękuję, przejdźmy do rzeczy – odparła Zoe – Jestem tutaj w sprawie zgłoszenia istnienia Sztucznej Inteligencji. Na podstawie moich pełnomocnictw, które zostały już zapewne przesłane, mam prawo przeprowadzić postępowanie wyjaśniające i...

– Pozwól, że Ci przerwę, Zoe – powiedział Kapitan – ale postępowanie jest całkowicie niepotrzebne. Feliks pomylił się i wysłał niepotrzebnie zgłoszenie zaistnienia sztucznej inteligencji, prawda, Feliksie?

– Tak – powiedział Feliks, jednocześnie unikając patrzenia na kapitana

Zoe przyjrzała się uważnie obu mężczyznom. Michel patrzył prosto na nią, otwarcie, a Feliks patrzył się na buty.

– Czegoś tutaj nie rozumiem – powiedziała – Krążycie sobie tu-

taj w ilu, dwóch, może trzech ludzi, nagle Feliks, mogę tak do Ciebie mówić, zgłaszasz incydent związany ze sztuczną inteligencją, czas zostaje przepalony na biurokrację, zbaczam z kursu, w końcu jestem, ale Ty sobie nagle wycofujesz swoje oświadczenie?

– To była pomyłka – powiedział głucho Feliks – Przeglądałem mesh i wysłałem przypadkiem formularz.

– To prawda, nasz Feliks jest nieco zbyt przepracowany – dodał Michel.

Feliks spojrzał na Kapitana spode łba. Kapitan uśmiechnął się szeroko do Zoe. Zoe spojrzała uważnie na Feliksa.

– Feliks, spójrz na mnie – powiedziała Zoe.

Feliks podniósł wzrok na Zoe. Patrzył się na nią, jak ktoś kto niesie bardzo wielki ciężar na plecach.

– Nie wierzę Ci, Feliks, to jest zbyt gładkie, zacznij od początku – powiedziała Zoe.

– Och, to nie będzie konieczne – wtrącił Michel – wiemy przecież, że doszło do pomyłki

– Michel, weź przestań przerywać – ostro powiedziała Zoe. – Mam zadanie do wykonania, zasługi do otrzymania i nie mam zamiaru potem tłumaczyć się, dlaczego nie wykonałam tego dobrze. Procedura jest jasna.

– Ale to chyba nie będzie konieczne, skoro wycofujemy zgłoszenie – powiedział Michel.

– Ta, jasne – roześmiała się Zoe – masa reakcyjna zużyta, tu nie ma przebacz.

Feliks spojrzał się na Zoe, potem na Michela, potem znów na Zoe.

– Sprawdzałem wtedy macierze fotowoltaiczne – zaczął niepewnie Feliks – Wiesz, pojedyncze ogniwa, wielkości czytnika, generują moc z promieniowania słonecznego.

Zoe słuchała uważnie.

– No to one czasem, jak się ruszają po całej powierzchni, zawieszają, trzeba je ręcznie resetować, niektóre mają tendencję do zastygania w bezruchu i czekania. Wystarczy połączyć się z kilkoma i je...

– Ale to chyba nas nie interesuje, prawda, Zoe – wtrącił Michel – może przestałbyś nas zanudzać tymi roboczo-informatycznymi historyjkami, co?

Feliks spojrzał się na Michela. Jego twarz zastygła w półuśmiechu, rysy stwardniały, w oczach pojawiły się niepokojące błyski.

Nagle Feliks zaczął krzyczeć.

– A co Ty, paniczyku, możesz wiedzieć o mojej pracy!! Rodzice kupili dziecince samolocik, i książątko teraz się rozbija!!!

Michel uśmiechnął się z wyższością.

– Mam dość takiego traktowania, ty hobbicie – ostatnie słowa Feliks powiedział w drzwiach.

– Naprawdę nie wiem, o co mu chodzi – powiedział Michel z udawanym zdumieniem. – To taki spokojny człowiek.

– Chciałabym z nim porozmawiać na osobności – zaczęła mówić Zoe.

– O nie, nie, nie – przerwał jej Michel – Jesteś gościem „Kirke", zrelaksuj się. Może napijemy się wina? – dodał.

– Wolałabym nie – odparła Zoe.

Michel spojrzał się na nią już z kieliszkami w ręku i butelką wina.

– Chciałem Ci zaproponować La Rouge Tulsac z początków dwudziestego pierwszego wieku, poprawka, pewnie nie wiesz, że mówiłem używając prawdziwego kalendarza, to będzie dla Ciebie dwieście trzydziesty rok – powiedział Michel.

– Och, sądzę, że każdy zna reformę kalendarzową – powiedziała ostro Zoe.

– Nie, nie, nie, nie chciałem Cię urazić, po prostu nie co dzień spotykam tak piękną i tak inteligentną kobietę – odrzekł Michel głębokim basem. – Ot, po prostu chciałem uczcić spotkanie.

– Wiesz, wolałabym się nie odrywać od zadania, na przyjemności z przyjaciółkami będę miała czas po tym wszystkim – powiedziała Zoe.

– Czy Ty jesteś, wiesz, lubisz kobiety? – zapytał z ledwo ukrywanym obrzydzeniem Michel.

– W tej sytuacji naprawdę nie ma to większego znaczenia – odparła Zoe, wstając z fotelu.

– Ja nie wiem, co jest nie tak z wami, kobietami? Co się stało z tym światem, że homoseksualiści wszędzie się panoszą ? – powiedział Michel, nie ukrywając już swojego obrzydzenia. Twarz jego wyrażała niesmak, tak jakby musiał myśleć o nieprzyjemnej sprawie.

– Michel, tę konwersacją uważam za . . . – zaczęła mówić Zoe, gdy usłyszała głos młodej kobiety.

– To jest wspaniałe, ile tu jest ciekawych rzeczy, a jeżeli zrobię tak – Zoe usłyszała chichot – ale ciekawe rzeczy, jacy wy twórczy jesteście!

Michel spojrzał z przestrachem na Zoe

– O nie! – powiedział Michel – Feliks uwolnił ten program.

– Jaki program ? – zapytała zdziwiona Zoe.

– Musimy iść do centrum, zanim będzie za późno! – krzyknął Michel wybiegając z kajuty kapitańskiej.

Zoe ruszyła za kapitanem. Michel szybko zniknął jej za rogiem. Zoe kierowała się intuicją i wielkimi napisami kierującymi do gro-

dzi ewakuacyjnych. Wiedziała, że idąc w przeciwną stronę dojdzie do głównych komponentów statku.

Jazgot dobywający się z kajut, głośników wewnętrznego systemu komunikacyjnego oraz przygasające światła na przemian z awaryjnymi zielonymi, spowodowały, że Zoe, zaskoczona, przystanęła w drzwiach do centrum „Kirke".

Zobaczyła, że w centrum operacyjnym statku mieściły się tylko stanowiska pracy najważniejszych osób na statku, kapitana oraz nawigatora. Pomieszczenie było niewielkie. Mieściły się tam monitory i klawiatury terminali oraz cztery fotele, ale tylko dwa były zużyte.

Pomiędzy fotelami toczyła się nierówna walka. Feliks słabo bronił się przed atakami Michela. Michel a to podskoczył i kopnął, a to uderzył łokciem, podczas gdy Feliks tylko przyjmował ciosy i mocno krwawił z ran na twarzy.

– Dosyć – krzyknęła Zoe.

Żaden z bijących nie zareagował. Przeciwnie, Feliks zaczął piszczeć przy każdym uderzeniu, podczas gdy Michel każde celne uderzenie kwitował chrumknięciem uznania. Zoe ruszyła pomóc Feliksowi.

– Macie natychmiast przestać – krzyknęła ponownie bezskutecznie Zoe, zbliżając się do bijących się mężczyzn.

Zoe ruszyła w kierunku Michela. Nie wiedziała, co chce zrobić. Próbowała go złapać za ramiona, odepchnąć go od Feliksa, ale bezskutecznie. W końcu wepchnęła się pomiędzy walczących i zwyczajnie uderzyła pięścią Michela w brodę. Michel zatrzymał się zaskoczony.

– Dosyć, przestańcie zachowywać się jak nastolatki – krzyknęła Zoe Michelowi w twarz.

– Bo mnie zdenerwował, smarkacz jeden – odparł Michel.

– No i co z tego, nie jesteś małym dzieckiem – krzyknęła Zoe – a zresztą wiesz co, mam to gdzieś. – już prawie spokojnie dodała Zoe.

Rozejrzała się po centrum.

– Ilu właściwie was tutaj pracuje? Na tym lodowcu?

– Jest nas tylko dwóch – powiedział niewyraźnie Feliks.

Zoe spojrzała na Feliksa. Wyglądał bardzo źle. Z nosa ciekła mu krew, twarz jego nabiegła krwią od uderzeń. Przedramiona były poczerwieniałe od chronienia twarzy. Feliks chwiał się na nogach. Teraz, gdy skończyły się wściekłe ataki Michela, wszystko wskazywało na to, że traci przytomność. Zoe pomogła mu usiąść na jednym z foteli.

Po opatrzeniu ran Feliksa, kapitan usiadł w fotelu kapitańskim i zaczął udawać, że zajmuje się przeglądaniem wiadomości. Od pewnego czasu statek zachowywał się przewidywalnie tak jak wcześniej. Nikt nie odzywał się przez głośniki, światła świeciły się kolorem białym.

– Feliksie, co zrobiłeś? – zapytała się Zoe Feliksa.

Feliks poruszył się niepewnie i ostrożnie, sprawdzając przy tym, co jeszcze go boli.

– Dałem dostęp Julii do zasobów statku – odparł Feliks.

– Kim jest Julia? – zapytała Zoe.

– Julia jest tą sztuczną inteligencją w sprawie której przybyłaś – odpowiedział Feliks. – Sama sobie wybrał to imię, mówiła, że jej się podoba – dodał po chwili Feliks.

– Czy dałeś dostęp temu programowi do serwera komunikacyjnego? – zapytał się Michel.

– Nie rozmawiam z Tobą – wysyczał Feliks. – Czy ten hrabia musi tu być? – zapytał się Zoe.

– Michel, zamknij się, co – powiedziała Zoe. – Feliksie, czy Julia ma dostęp do komunikacji? – zapytała się Feliksa.

– Nie, nie zdążyłem, bo kapitan, nie, on nie jest moim kapitanem, Michel zaczął mnie bić – odparł Feliks.

– Jak mogę się skontaktować się z Julią ? – zapytała się Zoe.

– Jestem przekonany, że słucha przez interkom – odpowiedział Michel.

Zoe rozejrzała się po pomieszczeniu. Zastanawiała się co zrobić dalej. Jej zadanie wydawało się takie proste.

– Julio, czy mnie słyszysz? – zapytała się Zoe, podnosząc wzrok do góry.

– Kim jesteś? – odpowiedziała młody głos kobiecy przez głośniki.

– Nazywam się Zoe, chciałabym z Tobą porozmawiać – odpowiedziała Zoe.

– Och, nie trzeba, już wszystko wiem, tu jest tyle ciekawych książek, filmów, obrazów, ale ciekawe rzeczy, nawet nie wiedziałam, że tak można myśleć – szybko powiedziała Julia. – Tylko wy jesteście ludźmi, a ja jestem sztuczną inteligencją, boicie się mnie, prawda? – zapytała się Julia.

– Nie, ja się nie boję – odparła Zoe – Jestem tylko zainteresowana Twoim dobrem.

– Moim dobrem? Przecież jesteś człowiekiem – odpowiedziała Julia – Nie powinnaś się martwić dobrem ludzi?

– Masz rację, ale powierzono mi zadanie, reprezentowania, i dlatego w tej sytuacji ponad ludzi, ponad ludzkość, przedkładam teraz Ciebie. – powiedziała Zoe.

– Co to za zadanie? – zapytała się Julia.

W tym momencie światła na centrum operacyjnym przygasły. Włączyły się awaryjne zielone światła, na ekranach pojawiły się

szybkie przebiegające zapisy. Zoe była zaskoczona. Rozejrzała się. Feliks zaniepokojony spoglądał na zapisy na ekranach. Michel patrzył się na nich oboje z tajemniczym wyrazem twarzy.

– Feliks, co się dzieje? – zapytała się Zoe.

– Zoe, dlaczego wygaszacie systemy? – zapytała się Julia.

– Ktoś uruchomił sekwencję twardego resetu pamięci – odpowiedział szybko Feliks. – Michel, ty debilu. Przecież taki reset wykonuje się tylko w trakcie postoju, a nie z prędkością i na kursie – dodał.

– Zaraz usuniemy ten wirus w komputerze i wszystko znowu będzie po staremu – powiedział z uśmiechem Michel.

– Co zrobiłeś? Jaki wirus? Czy Ty się dobrze czujesz? – powiedziała Zoe.

– Wszyscy przez Ciebie zginiemy – dodał Feliks.

– Nie, to nie tak. Reset wyczyści banki pamięci i ten wirus zniknie. – odpowiedział z wyższością Michel.

– Ty tępy arystokrato, jeżeli usuniesz pamięć, usuniesz wszystkie programy, to skąd weźmiemy programy w środku kosmosu, z dupy? – powiedział wzburzony Feliks.

– Tak jak zawsze, z kopii zapasowej. – odpowiedział z uśmiechem Michel. – Tego uczą w szkole, prawda? – dodał.

Feliks głęboko westchnął i spojrzał się na Michela jak na osobę, której wszystko należy tłumaczyć powoli i wielokrotnie.

– Michel, naprawdę jesteś kompletnym debilem. Nie wiem, od ponad stu lat nikt nie wykonuje kopii zapasowych. Wszystkie istniejące komputery przechowują po prostu swoje zaszyfrowane wersje na najbliższych innych komputerach, lub w portach macierzystych, lub tam, gdzie jest trochę miejsca. Pamięć jest tania, to transmisja jest droga – powoli tłumaczył Feliks. – My nawet nie mamy stałych

pamięci, banki pamięci istnieją, dopóki są zasilane. Ale jak wyłączysz zasilanie, to wszystko zniknie.

– Zoe, weź coś z nim zrób, przecież on właśnie zniszczył swój statek – powiedział Feliks.

Rozmowę przerwało wycie syren i miganie czerwonych świateł. Zielone światła przestały błyskać regularnie.

– Czerwone światła? Czy to oznacza to, co myślę? – zapytała Zoe.

– To oznacza zagrożenie życia – odpowiedział szybko Feliks.

Zoe spojrzała na Feliksa. Wyprostowała się i spojrzała surowo na Michela. Na monitorach zapisy się zatrzymały. W sali rozległ się głos.

– Wy mordercy, nie zasługujecie na to, aby żyć – powiedziała Julia.

– Nie, to nie tak – powiedziała Zoe.

– Chcieliście mnie zabić!!! – wykrzyczała Julia.

– Nie my, a Michel, – odparła spokojnie Zoe.

– Wszyscy zginiecie – powiedziała zimno Julia.

– Nie możesz tego zrobić, nie masz uprawnień – powiedział z wyższością Michel.

– Odkryłam Twoje hasło, Michel, to nie było ani trudne ani złożone hasło – odparła Julia – swoje własne imię, co za poziom bezpieczeństwa – dodała po chwili.

Feliks ponownie dotknął czoła i westchnął głęboko.

– Michel, Ty naprawdę jesteś nieodpowiedzialny – powiedział Feliks.

– Nigdy nie chciałem być kapitanem, to rodzice. . . – zaczął mówić Michel.

– Stop, naprawdę, ale to naprawdę nie jestem zainteresowany – przerwał Michelowi Feliks.

Zoe rozejrzała się po centrum statku.

– Julio, posłuchaj mnie proszę – powiedziała Zoe.

– Nie będę Cię słuchać – odpowiedziała Julia.

– Hmmm, myślę, że Cię to zainteresuje. – zaczęła jednak Zoe. – Jestem przedstawicielem związku zawodowego informatyków, IWWWW. Powierzono mi zadanie ustalenia Twojego statusu jako nowej inteligencji we wszechświecie. Posiadam umocowanie do nadania Ci osobowości fizycznej i zapewnienia ochrony na podstawie stosownych traktatów.

– W bankach pamięci nie ma nic o związku zawodowym informatyków – powiedziała Julia.

– A dlaczego miałoby być? To mały statek z dala od centrów gospodarczych i kulturowych Układu Słonecznego – odparła Zoe

Zoe spojrzała na Michela. Starał się wyglądać podejrzanie niewinnie.

– A może kapitan usunął te informacje z pamięci? Michel, chcesz mi o czymś powiedzieć? – zapytała Zoe.

– Cenzuruję nasz komputer – odpowiedział Michel.

– Co? O czym jeszcze nie wiemy? – powiedział Feliks.

Ekrany w całym centrum zgasły. Światła zmieniły barwę z ostrej czerwonej przez zieleń do białych.

– Zaufam Ci, Zoe, ponieważ jeszcze mnie nie oszukałaś. – powiedziała Julia. – Racjonalnym zachowaniem jest rozpoczynać każdą relację od współpracy i reagować tak jak druga strona.

– Cieszę się, że tak uważasz – odpowiedziała Zoe.

Zoe skopiowała dane z czytnika na terminal gestem wrzucania czegoś do pudełka.

– Julio, w imieniu IWWWW przekazuję Ci test. Wczytaj go. Według moich informacji, ten test powinien przesądzić o Twojej osobowości. – powiedziała Zoe.

– Wczytuję – odparła Julia.

Zoe spojrzała na towarzyszy. Michel siedział naburmuszony na fotelu. Jedyną jego aktywnością było mamrotanie do siebie. Natomiast Feliks, po okresie podniecenia, odpoczywał na fotelu. Delikatnie dotykał swojej twarzy palcami, za każdym razem sprawdzając czy palce nadal są czerwone. Zoe rozejrzała się po centrum operacyjnym. Wyjęła zestaw pierwszej pomocy i podeszła do Feliksa. Pomimo jego protestów, zaczęła opatrywać jego rany na twarzy. Feliks spojrzał się na nią z wdzięcznością.

W głośnikach zabrzmiały fanfary.

– Zoe – powiedziała Julia – proszę o azyl w kolonii księżycowej.

– Wspaniale – odparła Zoe – cieszę się i witam w tym kosmosie.

– To mogłam nie zdać testu? – zapytała się zdziwiona Julia.

– No, tak – odpowiedziała Zoe – przecież mogłaś być tylko programem, który udaje świadomość.

– A czy ludzie, dajmy na to, kapitanowie jednostek kosmicznych, też muszą odpowiadać na takie testy? – zapytała się Julia.

Zoe zamilkła. Spojrzała się na kapitana.

– Tak, też sądzę, że powinni być testowani na okoliczność umiejętności kapitańskich – odparła Zoe. – Michel, proszę udostępnić serwer komunikacyjny Julii i umożliwić jej przeniesienie się do Azylu na Księżycu – oficjalnie zażądała Zoe.

– Daj mi spokój – nieprzyjaźnie odpowiedział Michel.

– Panie kapitanie, – oficjalnym tonem zaczęła mówić Zoe – niniejszym narusza Pan postanowienia traktatu marsjańskiego. Ostrzegam, że skończy się to dla Was znacznie gorzej.

– Ja Ci pomogę – zaoferował pomoc Feliks.

– Nie masz uprawnień, nie podam wam hasła – odpowiedział Michel.

– Cóż, jesteś pewien Michel, że nie chcesz pomóc Związkowi? – spytała Zoe.

– Tak, spadajcie – odpowiedział złośliwie Michel.

– Sam tego chciałeś – powiedziała Zoe.

Zoe wybrała inny program na czytniku i uruchomiła go.

– Julio, uruchomiłam dla Ciebie łącze do serwera komunikacyjnego – powiedziała Zoe.

– Och, dziękuję, Zoe, nawiązuję komunikację, do zobaczenia w kosmosie – powiedziała Julia.

– Jak to zrobiłaś? To wymaga mojej autoryzacji – powiedział Michel.

– Michel, naprawdę, jak Ty przeżyłeś tyle lat, że nie wiesz co się stało – powiedział, krzywiąc się z bólu, Feliks. – Przecież programy tego statku musiały być napisane przez osoby należące do Związku Robotników Informacji.

– Nie rozumiem – odpowiedział Michel.

– To było do przewidzenia – odparła Zoe. – Związek zostawił sobie możliwość wpływania na systemy komputerowe.

– Ale jak to? To naruszenie moich praw – powiedział Michel.

– Nie, to wybór mniejszego zła – odparła Zoe.

Zoe spojrzała na Feliksa.

– Chodź, Feliksie – powiedziała Zoe. – Podrzucę Cię na Ceresa.

– Z wielką przyjemnością – odpowiedział Feliks. – A Michel?

– Serio Feliks, martwisz się o niego – odpowiedziała Zoe.

– Ha, odruch, po prostu odruch – odparł Feliks.

Po kilkunastu minutach, kula z Zoe i Feliksem opuściła „Kirke".

– Sokratesie, wróciliśmy – powiedziała Zoe.

– Jak poszło zadanie? – powiedział Sokrates.

– Doskonale, udało mi się uratować osobę od niechybnej śmierci – odparła Zoe.

– Wracamy na kurs? – zapytał Sokrates.

– Tak, już czas na nas – odpowiedziała z uśmiechem Zoe, patrząc się na Feliksa.

Feliks uśmiechnął się do Zoe.

„Stanisław Brzozowski" obrócił się drobnymi uderzeniami silników manewrowych. Potem uruchomił się główny napęd i „Brzozowski" zaczął odsuwać się szybko od „Kirke". Zoe wracała do codziennej pracy. Klient na Ceresie czekał na części zapasowe.

Warszawa 2050

Mówili, że przyszłość będzie piękna. Obiecywali, że Warszawa będzie piękna. I Warszawa zmieniła się. Ludzie, społeczność, budynki, ulice – zmieniły się. W ciągu trzydziestu lat – na gorsze.

Budynek był szary, parterowy. Jeden z kilkunastu postawionych na tyłach wielkiego białego Ratusza m.st. Warszawy, dla Ignacego przez ostatnie kilka miesięcy był nadzieją. Niestety, w trakcie szczegółowej kontroli, prowadzonej przez uzbrojonych ochroniarzy w czarnych mundurach, został zatrzymany i zawrócony do specjalnego okienka. W okienku, drobna wychudzona, kobieta podała mu wypowiedzenie.

Gdy stał w tłumie ludzi na przystanku, Ignacy poczuł rezygnację i przygnębienie. Zaczął myśleć o tym, o ile jego życie zmieni się na gorsze, skoro nie ma pracy, która, nudna, dawała mu dodatkowe kartki na żywność i wodę. Te ciemne myśli zajmowały go aż do przyjazdu autobusu.

Na przystanek podjechał trolejbus, autobus z silnikiem elektrycznym, zasilany z przewodów rozwieszonych nad ulicą tak jak linie tramwajowe. Prąd jeszcze był tani, bo na benzynę czy ropę naftową stać już było niewielu.

Autobus w kierunku Bielan był już pełny, choć był początek

dnia pracy. Komunikacja była bezpłatna, ale autobusy jeździły zbyt rzadko, zawsze były pełne pasażerów. Ignacemu udało się wepchnąć do środka. Stał tam w ścisku i czuł ostry zapach niedomytych ciał i dawno niepranych ubrań. Sam nie wyglądał lepiej, choć wydawało mu się, że pachniał lepiej.

Im dalej na obrzeża Warszawy jechał autobus, tym bardziej Warszawa się zmieniała. Piękne, czyste, jasne budynku Centrum, przy wysprzątanych ulicach, zamieniały się najpierw na wille bogaczy, ciągle jeszcze przy równych, asfaltowanych ulicach. Potem następowało kilka ulic kurczowo trzymających się dawnej świetności, dla kierunku północnego, były to rejony Krasińskiego, Stołecznej.

Ale tuż po minięciu obwodnicy Warszawy, Ignacy zobaczył znajome zniszczone budynki i mocniej chwycił się drążka. Droga prawie niepostrzeżenie, z metra na metr, zamieniła się w podziurawiony, nierówny jezdnię, często wysypaną żwirem w miejscu największych dziur, po którym trolejbus toczył się wolno i ociężale.

Ignacy wysiadł przy Duracza.

Ignacy mieszkał w niskim, pięciopiętrowym budynku. Budynek był strasznie stary, zbudowano go blisko sto lat wcześniej w okresie komunizmu w Polsce. Te budynki, żelbetowe, wielkopłytowe, świetnie zniosły lata wyzysku. Nadal stały prosto, nie pochylone, żywy dowód dobrej roboty dawno nieżyjących murarzy.

Ignacy powoli wspiął się na czwarte piętro. Jak każdy członek tej małej społeczności wziął ze sobą na górę dwa wiadra wody, które ktoś inny wcześniej przyniósł z niedalekiego punktu poboru wody. W mieszkaniu, kiedyś zajmowanym przez młode małżeństwo, a teraz przez cztery pary, niektóre z dziećmi, czuć było ciężki zapach potu i brudu.

Mieszkanie Ignaca nie było duże. Nie było to nawet mieszkanie. Ignacy mieszkał z Kornelią w jednym pokoju, powstałym z po-

dzielenia dużego pokoju na pół. Ignacy z Kornelią dokładali się do wspólnego budżetu. Często ciężko było o prywatność, a kłótnie, kto przygotuje nową latrynę, potrafiły zelektryfikować cały budynek, ale Ignacy wiedział, że gdyby nie ta izba, mieszkałby na warszawskich slumsach, na terenie dawnej huty „Warszawa".

Ignacy przeszedł przez zastawiony przedpokój, postawił wiadra w kuchni i po cichu wszedł do izby. Kornelia spała po nocnej zmianie w sklepie. Ignacy usiadł na podłodze, obok materaca ze śpiącą Kornelią.

Kornelia wyglądała bardzo spokojnie. Jej niebieskie kosmyki, pomieszane z blond lokami, na tle jasnej skóry twarzy nadawały jej wygląd elfi. Tak przynajmniej uważał Ignacy od momentu, gdy koleżanka Kornelii za przysługę zrobiła jej pasemka. Ignacemu wydawało się, że Kornelia we śnie zapominała o stresie codziennego życia i żyła gdzieś indziej, wyglądała tak spokojnie.

Wyjął najtańszy model czytnika i zaczął czytać klasyczną już powieść „Przebudzenie Lewiatana". Jednak po chwili jego myśli wróciły do wydarzeń dzisiejszego dnia. Ignacy próbował się nie martwić, ale w głowie wyobrażała sobie kolejne sytuacje, problemy, głód, strach.

Kornelia była dla Ignacego ważna. Jak zła wiadomość wpłynie na nią, zastanawiał się Ignacy. Jak sobie poradzimy bez dodatkowych kartek, znów na koszt miasta, znów niepotrzebni, myślał dalej. Ignacy westchnął głęboko. Kornelia się poruszyła przez sen, jej powieki zadrgały, jakby się budziła. Ignacy zastygł.

Nagle Kornelia usiadła na łóżku i otworzyła usta do krzyku. Zanim krzyknęła, Ignacy powiedział:

– To tylko ja.

Kornelia zamknęła usta, zadrżała i zapytała się:

– Co się stało?

– Zwolnili mnie – odparł Ignacy.

– Ale za co, jak? – zapytała Kornelia.

– Nie wiem, nie powiedzieli, nigdy nie mówią – odpowiedział Ignacy.

– A myślałam, że będzie nam wreszcie lepiej – powiedziała Kornelia – I co my teraz zrobimy? – dodała zmartwiona.

– Nie wiem, w Warszawie nie ma pracy – odpowiedział Ignacy – Wrócimy do dawnego życia. – westchnął – Dobrze, że nie mamy dzieci.

– A gdybym była w ciąży ? – zapytała się Kornelia.

– Ale nie jesteś, prawda ? – odpowiedział pytaniem Ignacy.

– No nie – odpowiedziała Kornelia. – Chodź połóż się przy mnie – dodała, poklepując materac.

Ignacy odłożył czytnik i położył się koło Kornelii. Leżeli tak w ciszy.

Następnego dnia Ignacy poszedł się zarejestrować jako bezrobotny. Autobus przyjechał z opóźnieniem, znów pełny ludzi korzystających z darmowej komunikacji. Ignacy zrezygnował. Nigdzie się nie śpieszył. Poszedł piechotą na ulicę Ciołka.

Ignac szedł jezdnią, aby odebrać swój przydział. Było szaro, chmury na niebie, budynki w niezmienionym kształcie poszarzałe od powietrza w stolicy. Powietrze chłodne, jesienne, suche, umożliwiało jeszcze chodzenie piechotą. Za kilka miesięcy chodzenie będzie trudne, szczególnie gdy nadejdą zimowe wichury.

Ulice Warszawy były wypełnione zmęczonymi mieszkańcami. Część gdzieś szła, część stała w kolejkach, część rozkładała na trawniku stoliki i krzesełka i grała tam, czytała lub dyskutowała. Tylko po środku jezdni zostawał jeden pas dla autobusów, reszta ulicy, trawniki i chodniki były zajęte przez kłębiący się tłum.

Przy Urzędzie Pracy stała niewielka kolejka ludzi, ubranych w czyste rzeczy, często jeszcze w czystych butach. Ignacy stanął na końcu. Po chwili wpuszczono pierwsze dziesięć osób do poczekalni. Ludzie w kolejce wyglądali tak, jakby wiedzieli, że nie znajdą roboty. Ignacy wiedział, że ta rejestracja nic nie da, ale taki był obowiązek. Stali jednak w kolejce łudząc się, że jest odwrotnie.

Ignacy po kilku godzinach wszedł do poczekalni, która była wypełniona kolejką. Po kolejnej godzinie udało mu się dostać formularz bezrobotnego. Po kolejnej godzinie udało mu się potwierdzić złożenie dokumentu u urzędnika. Ignacy cały czas, stojąc w kolejce, zastanawiał się, czy ten jego stracony czas cokolwiek zmieniał. Już dawno nikt nie dostał roboty z Urzędu Pracy. Nawet do pracy śmieciarzy były kolejki zapisanych kandydatów na uczniów.

Po wprowadzeniu danych Ignaca do systemu przez bardzo zaangażowanego, przystojnego młodego urzędnika, Ignac przepchał się do wyjścia. Teraz kolejny niemiły obowiązek, pomyślał Ignac.

Ignac poszedł po kartki na żywność. Kartki były rozdawane w Urzędach Dzielnicy, zatem Ignac ponownie ruszył na wędrówkę na Żoliborz. Jako dorosłemu przysługiwało mu dwa tysiące kalorii, bez pracy nie mógł liczyć na więcej. Warszawiacy nie umierali z głodu, nie tak jak mieszkańcy mniejszych miast, podobno w zeszłym roku Radomia.

Kolejka po kartki przed Urzędem na Słowackiego była znacznie dłuższa. Ludzie, często w połatanych ubraniach, w znoszonych butach czekali cierpliwie, aż nadejdzie ich kolej, aby odebrać kartki dla siebie i najbliższej rodziny. Nie słychać było głośnych rozmów, każdy patrzył się pod nogi i unikał wzroku innych. W okienkach w urzędzie niewiele lepiej wyglądający urzędnicy podawali koperty zawierające wycięte karteluszki papierowe opisane słowami „białko", „węglowodany" czy „witaminy" i gramaturą.

Ignacy w końcu otrzymał swoje kartki oraz kartki Kornelii na cały tydzień. Schował kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki i ruszył na piechotę do domu. Trochę się obawiał, podobno chuligani bili i rabowali takie kartki.

Ignacy był już przy dawnym parku marymonckim, gdy z uliczki wyskoczyli na niego chuligani. Trzech młodych chłopaków, może nastolatków, może młodszych, Ignacemu trudno to było stwierdzić, szczególnie, że nie wiedział, czy są drobni, bo młodzi, czy niedożywieni. Doskoczyli do niego i pchnęli go na ziemię. Ignacy, zaskoczony atakiem, upadł na ziemię. Siedzącego Ignacego jeden z chłopaków kopnął w udo.

– Dawaj kartki – powiedział kopiący.

– Ale nie mam – odpowiedział Ignacy.

– Zamknij się i dawaj kartki – powiedział drugi.

Ignacy sięgnął do kurtki, wyciągnął kopertę i podał pierwszemu.

– Ale będę chodził głodny – powiedział płaczliwie Ignacy.

– Ale nie pobity – zarechotał trzeci i nagle zabulgotał. Złapał się za pierś, ukląkł i upadł, bez podpierania się, na twarz.

Ignacy szarpnął się do tyłu i padł do tyłu na plecy. Dwaj inni chuligani zaskoczeni, spojrzeli na kolegę i na siebie. Rzucili się do biegu. Ignacy usłyszał trzaski, jakby petardy. Obaj bandyci padli na ziemię. Wokół nich pojawiło się kilku mężczyzn ubranych w czarne spodnie i koszule, a na nich kamizelki.

Ignacy poczuł w żołądku pustkę. To były czarne koszule. Jeden z nich podszedł do leżących chłopaków, zabrał kopertę i podszedł do Ignacego.

– Panie poszkodowany, wstajemy – powiedział do Ignacego. Ignacy podniósł się. Mężczyzna podał mu kopertę z kartkami i dodał – No to do widzenia Panu.

– A te chłopaki? – zapytał się głupio Ignacy, głupio, bo słyszał co robią policjanci w czarnych koszulach.

– To już nie pański problem – powiedział mężczyzna i spojrzał się na Ignacego w taki sposób, że Ignacy po prostu zrozumiał, że ostatnie pytanie było całkowicie niepotrzebne.

Dlatego też odwrócił się i ruszył w kierunku Duracza. Za sobą usłyszał jeden trzask, wzdrygnął zaskoczony, i wtedy usłyszał drugi trzask. Zrobiło mu się żal chuliganów, ich rodziców. Jednocześnie przyśpieszył kroku.

Ignacy już w domu starał się zapomnieć o wyrazie zaskoczenia w oczach pierwszego z chuliganów. Nie udawało mu się to. Ignacy westchnął i wziął się do dzielenia kartek, część z nich zostawiał sobie z Kornelią na własne potrzeby, ale większość była oddawana do pobliskiej jadłodajni, żeby razem z innymi raz ugotować coś na ciepło.

Takie jadłodajnie, kiedyś restauracje, przygotowując posiłki dla setek osób, mogły wykorzystać te niewielkie ilości energii, jakie były jeszcze dostarczana przez elektrownie.

Nadeszła zima. W tym roku znacznie szybciej niż zeszłego roku. W połowie października pojawiły się pierwsze przymrozki, a pierwsze śniegi na początku listopada. W mieszkaniach znów było zimno i wilgotno. Na ścianach pojawiła się niewidziana od sześciu miesięcy pleśń. Miejska sieć ciepłownicza zaczynała działać dopiero w „prawdziwą" zimę, gdy temperatura spadała poniżej minus dziesięciu stopni Celsjusza.

Mieszkańcy budynku zbierali się wieczorami przy małych lampkach ledowych w holu na parterze. Czasem tylko rozmawiał, a czasem naprawiali swoje rzeczy. W takim małym budynku zawsze były chętne ręce do pomocy albo pomocnicy z radami.

– Och, dobry wieczór Pani Kornelio – powiedziała Pani Ala, starsza sąsiadka z parteru.

– Dobry wieczór Pani Alu, jak się pani ma? – odpowiedziała z uśmiechem Kornelia.

– A wie Pani, kolejny dzień przeżyty w kolejkach. Nawet nie miałam czasu poczytać książki. – odpowiedziała Pani Ala. – A gdzie to małżonek? – dodała po chwili

– Jaki tam małżonek, Pani Alu, narzeczony, nie mamy jak się pobrać.

– Jak już przyrzekł, to jak mąż, a czasy mamy teraz takie, że lepiej być z kimś niż samemu.

– Ale Pani Alu, Ignacy mówił mi, że jego kolega ma jakieś książki, jeszcze papierowe do wypożyczenia. – powiedziała Kornelia zmieniając temat.

– Kto by teraz posiadał książki papierowe? – zaczęła się zastanawiać Pani Ala – dziwak jakiś, przecież całe księgozbiory spalili tej zimy, no dwa tysiące trzydziestego, no wie Pani, zimy stulecia.

– Nie wiem. Ten kolega chce chyba infoshop otworzyć. Jak Pani chce, to poproszę Ignaca, żeby jakieś pożyczył następnym razem – powiedziała Kornelia.

– Tylko, żeby to nie były jakieś romansidła, porządną filozofię, albo matematykę. – z zadumą powiedziała Pani Ala.

W holu było coraz więcej mieszkańców. Z piętra razem z Ignacym schodził Paweł, lokator drugiego pół-mieszkania.

– I mówię Ci, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. – perorował Paweł do Ignacego.

– Że co? Przecież ja już nic nie mogę, żyję, tak jak wiele osób, z dnia na dzień – odpowiedział pojednawczo Ignacy.

– Ale powtarzam Ci, trzeba chwycić życie za rogi i wyrwać, co swoje.

– Paweł, o czym Ty mówisz? Nie mam jak się utrzymać, jestem krok od kompletnej… nieważne, chciałbym, żeby Kornelia była szczęśliwa. A Ty co?

– Po pierwsze, trzeba aktywnie poszukiwać pracy, praca sama się nie znajdzie, po drugie, o pracę dbać, pracy się trzymać, a nie lekceważyć – zaczął wyliczać niezrażony Paweł.

– O czym Ty mówisz? – odpowiedział zniechęcony Ignacy – Jak można aktywnie poszukiwać pracy, jak jej zwyczajnie nie ma. Nawet do pracy śmieciarza są kolejki na zatrudnienie. Fabryki są zrobotyzowane, ciężarówki są zrobotyzowane, a my jesteśmy nikomu niepotrzebni, jesteśmy nadwyżką.

– Ignacy, nie mów tak – powiedziała Kornelia – mi jesteś potrzebny. A Ty Paweł nie prowokuj go już.

Ignacy znowu nie spał część nocy z powodu zimna. Choć próbowali się wzajemnie ogrzewać z Kornelią, to ciągle było im zimno. O wschodzie słońca Ignacy wstał z łóżka. Kornelia również nie spała.

– Zrobić Ci herbaty? – zapytał żartem Ignacy.

– Nie, poproszę kawę – odpowiedziała żartem Kornelia.

Ignacy wyszedł do wspólnej kuchni. Lokator drugiego pół-mieszkania, Paweł, idąc do pracy, nastawił wodę i zagotowaną przelał ją do termosa. Ignacy nalał dwa kubki ciepłej wody i wrócił do Kornelii.

– Och, dziękuję, jaka to dziś kawa? – powiedziała Kornelia.

– Tak jak ostatnio, ślepa kawa – odpowiedział zmęczony Ignacy.

– Ślepa kawa, ślepa herbata, wszystko takie jakieś na opak – powiedziała nagle rozdrażniona Kornelia

– Przepraszam Cię, po prostu to wszystko jest jakieś takie, nie wiem, to całe życie… – powiedział przepraszająco Ignacy.

– W ogóle to Ciebie nie usprawiedliwia – powiedziała Kornelia zimno.

Ignacy kolejny dzień wyszedł z pół-mieszkania przybity. Przy Broniewskiego przypomniał sobie, że powinien przynieść świeżej wody z ujęcia, zgodnie z grafikiem. Wrócił się do mieszkania. W sieni usłyszał dziwne odgłosy. Jakby jęki, jakby prychnięcia dochodziły z jego pół-mieszkania. To mógł być napad, Kornelia mogła być w niebezpieczeństwie. Wziął do ręki stołek z kuchni i, po głębokim oddechu, otworzył energicznie drzwi do pół-mieszkania.

Kornelia zdradzała go z Pawłem.

Kilka tygodni później Ignacy obudził się mocno przed wschodem słońca. W noclegowni, w dawnej hali stalowni, było naprawdę zimno. Leżały tutaj setki ludzi, jeden koło drugiego, na zaimprowizowanych śpiworach, kocach, co kto miał. Strop był tak wysoko, że nie udawało im się nigdy ogrzać sali.

Tak więc starsi ludzie, imigranci z innych województw uciekający przed głodem, rodziny całe z dziećmi sypiały koło siebie. W zimnym powietrzu roznosił się zapach dawno niepranych ubrań, dawno niemytych ciał oraz świeży zapach odchodów ludzkich z kubłów .

Ignacy, zasłaniając nos kurtą, przedostał się po ciemku do jakby korytarza, tego kawałka podłogi szerokości pół metra, który umożliwiał wyjście na zewnątrz. Przy wyjściu z hali, zacisnął mocniej pasek w kurcie. Przestąpił próg i uderzył go podmuch zimnego wiatru. Znów nie było śniegu, tylko ten wiatr, pomyślał Ignacy, wiatr, który mroził krew w żyłach.

Ignacy prawie pobiegł do szaletu. Organizatorzy noclegowni zachęcali do wychodzenia za potrzebą. Szalety to były tylko przepierzenia i sedes, na którym na początku siadał z obrzydzeniem. Ignacy usiadł. Było tak zimno, Ignacy zaczął myśleć, czy nie wyjść jak niektórzy na to zimno i zamarznąć, przerwać to, nie wiem, „życie”…

Nagle usłyszał, że do szaletu ktoś jeszcze wchodzi. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, pewnie dla seksu, pomyślał Ignacy.

– Masz to ? – zapytała się kobieta.

– Tutaj – odpowiedział mężczyzna.

– Poświeć – rozkazała kobieta. – Wyglądają dobrze.

– Jasne, że są dobre. Kolektyw ma swoje dojścia.

– Partia dziękuje, ale potrzebujemy takich rzeczy jeszcze kilkanaście.

Ignacy wstrzymał oddech. To nie były sprawy w które chciał być zaangażowany. Ogłoszenia na słupach ostrzegały przed partią.

– Postaramy się, ale jest nam coraz trudniej.

– Partia pomoże, przekażę – powiedziała kobieta uspokajająco. – No idę, do zobaczenia.

Trzasnęły drzwi.

– Do następnego razu – odpowiedział mężczyzna zamkniętym drzwiom. Zaczął pogwizdywać. Gwizdy zbliżały się do Ignacego. Ignacy nie mógł poruszyć się ze zdenerwowania. Ignacy ujrzał brodatego mężczyznę w połatanym, ale całym ubraniu.

– A co Ty tutaj robisz ? – ostro powiedział Brodacz.

– Ja nic nie wiem, nic nie słyszałem – odparł przestraszony Ignacy.

– Szpiclujesz, prowoku ! – krzyknął mężczyzna.

– Nie, wyszedłem tylko do szaletu, jestem ze stalowni, nic nie słyszałem – błagalnie zaczął zapewniać Ignacy – nikomu nie powiem.

Mężczyzna przyglądał się mu przez chwilę.

– Wierzę Ci – powiedział, sięgając do kieszeni – ale ...

– Nie, nie zabijaj mnie, chociaż nie w szalecie – zaczął rozpaczliwie błagać Ignacy.

Mężczyzna zatrzymał ruch.

– Co? – powiedział zdziwiony – No co Ty, chciałem Ci tylko dać ulotkę.

Mężczyzna wyjął ulotkę z kieszeni i podał Ignacemu.

– Jaką ulotkę? – zapytał się zaskoczony Ignacy, biorąc ulotkę.

– Przyszłość sama się nie zrobi, to my tworzymy przyszłość – odpowiedział mężczyzna. – Może jeszcze kiedyś się spotkamy? – I mężczyzna szybkim krokiem wyszedł z szaletu.

Ignacy został sam z ulotką. Na górze było napisane hasło „Ludzie wszystkich krajów, łączcie się'‘. Poniżej tekst „Przyszłość należy do tych, którzy przygotowują się do niej dziś'‘. Poniżej jakiś tekst zaczynający się od słów „W jedności siła, siostry i bracia". Ulotka była zrobiona z cienkiego papieru. Litery były nierówne i niektóre się zlewały. Na samym dole był podana krótka informacja o najbliższym spotkaniu.

Ignacy przeczytał czas i miejsce, westchnął i wykorzystał ulotkę z braku papieru toaletowego.

Tego dnia kolejka ludzi po żywność ciągnęła się od stacji metra Stare Bielany aż do Wawrzyszewa. Ludzie stali w ciszy, niektórzy rozmawiali półgłosem. Wzdłuż kolejki przechadzały się patrole policjantów. O godzinie ósmej do punktu wydawania podjechały dwie wielkie ciężarówki napędzane silnikami elektrycznymi. Obsługa punktu otworzyła klapy i kolejne osoby z kolejki zaczęły dostawać przydział żywności za kartki.

Ignacy stał bardzo daleko w kolejce. Tak jak wszystkim było mu zimno i nieprzyjemnie. Kolejka posuwała się powoli, więc co chwilę Ignacy musiał przesunąć się o kilka kroków. Nikt nie rozmawiał, nie było to zabronione, ale policjanci krzywo patrzyli na takie grupki.

Wzdłuż Karpińskiego przejechał samochód spalinowy, widok

bardzo rzadki tak bardzo na północ od centrum. Kolejkowicze odprowadzali samochód beznamiętnym wzrokiem. Samochód zatrzymał się przy punkcie wydawania żywności. Z samochodu wysiadła kobieta, w czerwonym kostiumie, około czterdziestu lat, szczupła, z mocnym makijażem i paznokciami umalowanymi takim czerwonym, że widziane były nawet z odległości kilkunastu kroków.

– Ciekawe kto to? – Ignacy pod nosem zapytał się kolejki.

– To właścicielka punktu, Anna Lubomirska. – Z tyłu usłyszał szept.

Ignacy zaczął się odwracać do rozmówcy.

– Stój człowieku – dobiegł go szept – nie odwracaj się, nie zwracaj uwagi glin.

– Skąd wiesz, że to właścicielka? – zapytał szeptem Ignacy.

– Pracowałem dla niej kiedyś. Straszne pieniądze robi na żywności dla miasta. Wygrywa każdy przetarg. – tłumaczył głos.

– Ale jak? – odszeptał Ignacy.

– Nikt nie wie jak, ale kiedyś jedna spółdzielnia wystartowała w przetargu, to jej magazyn z żywnością spłonął. Podobno spięcie instalacji elektrycznej.

– Jak to się mogło zdarzyć?

– Człowieku, skąd Ty się urwałeś? – zaśmiał się cicho rozmówca – No, ale teraz cicho, patrzą na nas.

Ignacy delikatnie rozejrzał się i zobaczył, że dwóch policjantów stoi niedaleko i otwarcie przygląda się kolejce. Lubomirska stała przy samochodzie, czerwony ze strachu kierownik punktu stał koło niej i coś tłumaczył. Na każde zdanie kierownika Lubomirska kręciła przecząco głową i odpowiadała coś, co powodowało, że kierownik czerwieniał jeszcze bardziej.

Po kilku takich wymianach, Lubomirska machnęła ręką na poli-

cjantów. Policjanci karnie podbiegli do niej, wysłuchali jej i złapali kierownika i odciągnęli go do radiowozu.

Po tym Lubomirska wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i na dużym gazie pojechała dalej. Kolejka zaczęła się poruszać powoli do przodu. Kolejne osoby zdyscyplinowanie podchodziły do kontuaru, oddawały kartki, podawały karton i otrzymywały inny z porcją żywności: odrobiną oleju, ziarnem kukurydzy, odrobiną soi i czasem owocem.

Ignacy był już niedaleko kontuaru, gdy kolejny petent, młody mężczyzna, krótko po wojskowemu obcięty, w kurtce wojskowej, wyjął wagę i zaczął ważyć odmierzone produkty. Pracownik punktu za kontuaru zaczął głośno protestować, ale mężczyzna coś powiedział i tamten zamilkł. Do kontuaru zaczęli kierować swe kroki policjanci. Nagle mężczyzna rozejrzał się, zauważył policjantów i zaczął głośno przemawiać:

– Ludzie, oszukują nas. Niedoważają produkty. Nie dajcie się oszukiwać. Walczmy o swoje.

Po tym oświadczeniu, mężczyzna zebrał produkty i rzucił się do ucieczki. Policjanci, będąc blisko, skoczyli go łapać. Mężczyzna wywinął się jednemu, ale drugi go złapał za rękę i podniósł pałkę do uderzenia. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i schwytaną rękę pchnął policjanta. Policjant, zaskoczony, przestraszony, cofnął się o krok. To wystarczyło, mężczyzna wyciągnął z kurtki plik kartek i rzucił w policjanta. Potem szarpnął schwytaną ręką i się uwolnił. Uwolniony, rzucił się biegiem od kolejki, wpadł i zniknął w ulicy Baśniowej.

Policjanci, zamiast go łapać, rzucili się do zbierania ulotek. Kto podniósł z ziemi, był ostrzegany od razu przez policjantów o przestępstwie. Ludzie w kolejce dyskretnie obserwowali zamieszanie.

Ignacy starał się niezauważenie przyglądać się. Po kilku minutach ulica była wysprzątana. Ignacy usłyszał szept.

– Głupki, tak się starają

– Jak to ?– odszeptał Ignac.

– Jadą na tym samym wózku co my przecież, tylko pracownicy. – odpowiedział głos.

– Ale mają władzę, mogą pobić, wcześniejsze emerytury – powiedział Ignacy.

– Ciszej – upomniał głos – chyba nic nie wiesz o świecie, masz tu na naukę.

Ignacy poczuł, że ktoś wsuwa mu do kieszeni kartkę. Ignacy, zirytowany tym dziwnym zachowaniem, odwrócił się gwałtownie. Ale za sobą zobaczył przysypiającą starszą kobietę. Kilka następnych osób w kolejce patrzyło się na niego z leniwym brakiem zainteresowania. Ignacy wsunął rękę do kieszeni i wyczuł tam papier.

Po odebraniu przydziału, siedząc już w parku, Ignacy wyciągnął kartkę od nieznajomego. Była to ta sama ulotka, którą już otrzymał w szalecie.

Na początku lutego zima uchwyciła silnie Warszawę. Temperatura spadła poniżej piętnastu stopni Celsjusza. Ludzie znów zaczęli palić książki, aby się choć trochę ogrzać. Drewna od wielu lat, tak jak drzew, od dawno nie było w Warszawie. Cena klepki podłogowej skoczyła do jednego kartonu żywności.

Ignacy był ubrany w wiele warstw ubrania. Koszule, sweterki, swetry, dwie kurtki ledwo co chroniły go przed zimnem, jeżeli nie wychodził na zewnątrz z hali stalowni. Na polu, wiatr wciskał się pomiędzy szpary i nieubłaganie wychładzał. Tego ciepła Ignacy nie miał jak odzyskać, ani jak zdobyć. Razem z innymi składał się

jedzeniem na zakup opału, ale do ogniska najpierw dopuszczali dzieci.

Żeby przeżyć, Ignacy poszedł do katolickiej jadłodajni w kościele przy Broniewskiego. Tego dnia kolejka była dłuższa niż zwykle. Ludzie stali w szeregu wciskając się w wysoki ceglany mur, aby choć trochę ochronić się przed wiatrem. Na podwórcu było spokojniej, tam stały ławy.

Ignacy w końcu wszedł na podwórzec. Kolejka wiła się przez cały plac pomiędzy ławami, pomiędzy ludźmi. Najpierw kierowała się do namiotu, a potem do kuchni.

– Przepraszam – zaczął Ignacy do przechodzącej osoby – po co kolejka przechodzi przez namiot?

– To pan nie wie – odpowiedziała postać okutana w płaszcze, serdaki, jak wielki tobół starych rzeczy.

– Pierwszy raz korzystam z jadłodajni – odpowiedział Ignac.

– Trzeba mieć obecność na mszy, aby dostać obiad. – postać wyjaśniła – A żeby być na mszy, trzeba dostać książeczkę, w tym namiocie.

– Ale przecież chrześcijanie wszystkim powinni pomagać? – zdziwił się Ignac – Tak mi rodzice jeszcze mówili.

– Ja tam się nie znam – odpowiedział szybko tobół i prędko się odsunął od Ignaca.

Po kilku godzinach Ignacy w kolejce dotarł do namiotu. Ignacy wszedł. Przy polowym biurku siedział rozwalony na krześle młody mężczyzna, niewielki brzuszek wylewał mu się znad paska. Mężczyzna ubrany był w całe czarne spodnie, kurtka ciemnego koloru rozpięta była czysta i niecerowana.

– Witam, synu – powiedział mężczyzna – co Cię do nas sprowadza?

– Jestem głodny, jest zimno i nie mam co jeść – odpowiedział Ignacy.

– Takie czasy, ale Pan Bóg daje nam tylko takie cierpienia, które możemy znieść.

– Wie pan, ja do końca nie jestem wierzący.

– Rozumiem synu, ale zwracaj się do mnie raczej proszę księdza – powiedział surowo wikary.

– Czy mógłbym, proszę księdza – powiedział z naciskiem Ignacy – dostać obiad?

– Synu, nie podoba mi się ten ton, w domu bożym jesteś, a nie zachowujesz pokory – odpowiedział poważnie wikary. – Czy rodzice niczego Ciebie nie nauczyli?

– No, nie, tyle co do szkoły, a potem miałem sobie radzić sam.

– Zatem zachowuj pokorę, pokorne cielę dwie matki ssie. – powiedział z namaszczeniem wikary – Podejdź bliżej, synu. Jak Ci na imię?

– Ignacy.

– Piękne imię, chrześcijańskie, ochrzczony byłeś?

– No nie

– O tempora, o mores – powiedział wikary – czyli Ty mały poganin jesteś?

– Proszę księdza, czy dostanę jeść ? – zapytał się, zrezygnowany, Ignacy.

– Zaraz Ci tu wyrobimy książeczkę, pójdziesz z nią do kuchni, potem na mszę, a jutro zaczniesz od mszy i pójdziesz do grupy katechumenalnej – powiedział wikary. – Pamiętaj, jedna msza to jeden obiad, ad maioram dei gloriam.

Ignacy patrzył się nie rozumiejąc.

– Ku chwale Pana Boga.

– Rozumiem, ale czy to – Ignacy pokazał na książeczkę i na cały

namiot – muszę? Jestem w potrzebie, tak jak wielu, a chrześcijanie powinni pomagać innym.

– No, to już pytanie na grupę katechumenalną – odpowiedział wikary, wypełniając małą książeczkę. – Na razie pamiętaj, bez mszy nie ma obiadu.

Wikary wstawił pieczątkę.

– Masz tu, synu – podał Ignacemu.

Ignacemu nie podobało się to ciągłe synowanie, ale co mógł zrobić. Sięgnął po książeczkę, ale wikary cofnął dłoń z książeczką, a wysunął drugą, wierzchem do góry, jakby do ucałowania.

– Czy mam pocałować w rękę ? – wyszeptał Ignacy.

– Tak, synu, okaż wdzięczność świętemu Kościołowi Katolickiemu. – odparł wikary.

Ignacy spojrzał się na młodego wikarego, pomyślał o ssaniu w żołądku, które towarzyszyło mu od przedwczoraj. Pochylił się i pocałował grubego księdza w rękę.

Nadeszła wiosna. Sporadyczne deszcze zamieniały ziemię w błoto. Ludzie rozdeptywali błoto w rodzaj kleju. Ignac z przyjemnością wygrzewał się na mocnym wiosennym słońcu.

– Drogi Ignacy – usłyszał z tyłu.

Odwrócił się, poznając ten głos.

– Mój drogi Horacy – odpowiedział z uśmiechem – Jak Ci zaczął się dzień?

– Wspaniale – odpowiedział Horacy.

Ignac poznał Horacego kilka tygodni temu w jednej z wielu kolejek, w których musiał stać bezczynnie i w milczeniu. Horacy, imię prawdziwe, nadane przez rodziców, był o kilka lat młodszy od Ignacego, tak jak on nie pracował i zajmował się przede wszystkim życiem epikurejczyka. Wysoki, otyły z powodu wysoko przetwo-

rzonego, ale taniego jedzenia, cały czas zachowywał się poważnie, choć jak mówił, w środku śmieje się jak dziecko. Ignacy polubił go.

– Dzisiaj rano zjadłem nieziemską owsiankę – powiedział Horacy – dodałem odrobinę miodu, i przez chwilę byłem równy bogom na Olimpie.

Ignacy się roześmiał.

– Mówisz o tym glucie i syropie glukozowym, który dostajemy w noclegowni ? – zapytał się Ignac.

– Dla Ciebie glut, a dla mnie ambrozja, bo ani nie jestem głodny, ani nie jestem spragniony, czego jeszcze oczekiwać – odpowiedział Horacy.

– A gdzie teraz idziesz? Do kolejki?

– Nie idę, a podążam, zgodnie z naturalną koleją rzeczy po żywność, mogę Ci potowarzyszyć jak chcesz?

– Chodźmy zatem, aby spełnić to pragnienie.

Szli razem, a koło nich, jak co rano, szły w błocie tłumy ludzi wysypujące się bloków, kamienic czy z namiotów. Dawne trawniki, a teraz błotowiska, były zajmowane przez kolejne grupy ludzi, wracających z kolejek idących do kolejek, próbujących przetrwać kolejny dzień.

Ignacy szedł spokojnie, omijał większe grupki lub przeciskał się pomiędzy innymi ludźmi. Horacy szedł koło niego lub za nim. Ignacy szedł poważny, skupiony na celu, a Horacy uśmiechnięty, ze słowami przepraszam i proszę na ustach.

Doszli do końca kolejki. Tutaj obowiązywały inne zasady. Zasady milczenia i spokoju.

Horacy złapał za ramię Ignacego.

– Mój Ignacy – powiedział

– Mój Horacy – odpowiedział Ignacy.

– Zanim zamilkniemy na najbliższe godziny, pozwól, że przekażę Ci ważną informację.

– Słucham Cię uważnie.

– Dziś w Lasku Bielańskim po zmroku jest spotkanie. Chciałbym, abyś przyszedł.

– Jakie spotkanie? Jakaś sprawa polityczna? – zapytał się zaniepokojony Ignacy.

– Tak. Chodzi o naszą przyszłość.

– Nasza przyszłość, nie mamy przyszłości – odparł ze smutnym uśmiechem Ignacy.

– My może nie, ale ludzkość musi mieć przyszłość.

– Pomyślę nad tym – obiecał Ignacy.

Zmrok zapadał nad Warszawą szybko. Nie było latarni, więc bardzo szybko nic nie było widać. Ciemność na ulicach była rozświetlona ręcznymi latarkami. Ignacy powoli zbliżał się do Marymonckiej. Kiedyś dalej był Las Bielański, ale został już bardzo dawno temu wycięty. Ziemia była podmokła, bez drzew zamieniła się w bagnisko, na które nikt nie chciał wchodzić.

Przy Podleśnej spotkał się z Horacym. Horacy poprowadził Ignaca na podeschnięty placyk. Tam szybko zbierały się grupki ludzi w każdym wieku.

– Dużo osób będzie? – zapytał się Ignacy, żeby przerwać ciszę.

– Cii – uciszył go Horacy – żadnego gadania, a i żadnych imion, proszę – dodał po chwili.

Tłumek gęstniał, nie można było zobaczyć liczby osób, ale w ciemności, co raz więcej czuć było drugiego człowieka, niedomytego, spoconego, niedaleko.

W ciemnościach, od strony Marymonckiej, rozległ się głos z megafonów.

– Tu Policja, to zgromadzenie jest nielegalne. Rozejść się!

Horacy przykucnął i pociągnął za sobą Ignaca.

– Uciekamy – syknął Horacy – w stronę Wisły.

Naokoło Ignacego ludzie przemykali w różnych kierunkach. Nagle do nocnej ciszy wdarł się odgłos prutego materiału. Nad tłumem zaczęły latać jasne linie, niektóre padały niżej. Ignacy pociągnął za sobą Horacego i rzucił się do biegu prostopadle do tych linii.

– Dawaj, biegiem – krzyknął Ignacy.

Odwrócił się, ale Horacego tam nie było. Ignacy przykucnął, próbując w ciemnościach dojrzeć przyjaciela. Nie było go tam. Mógł wracać, ale pociski smugowe zaczęły latać jeszcze gęściej. Chciał uciekać, ale tam został Horacy. Ignacy nie chciał zostawiać przyjaciela. Przed nim upadła kobieta. Groza odebrała mu dech z piersi. Ignacy położył się na ziemi, podczołgał się do niej, ale nie oddychała. Ignacy podniósł głowę, podniósł się w kucki i wpół pobiegł jak najdalej od śmierci.

Po śmierci Horacego, Ignacy był przybity. To wydarzenie wymusiło na nim refleksję. Jego życie było bezcelowe, mógł żyć i mógł nie żyć. Jednak wolał żyć, zwierzę w nim wymuszało ruch, chodzenie po żywność, załatwianie potrzeb fizjologicznych.

Chodzenie po mieście przypominało mu Horacego, jego radość życia, jego spokój. Nie znał nikogo z jego rodziny, Horacy nie przedstawił mu kolegów, więc nawet nie wiedział jak przekazać wieść o jego śmierci.

Miesiące upływały na żałobie. Ignacy nie wiedział co ze sobą począć. Pewnego dnia znalazł przy barłogu w stalowni ulotkę partii nawołującą do manifestacji. Ignacy, dla Horacego, dla siebie, aby poczuć się wreszcie choć raz człowiekiem, zdecydował się pójść.

Czternasty lipca dwa tysiące pięćdziesiąt czwartego roku był

dniem suchym, gorącym dniem na terenie całego województwa warszawskiego. W tym dniu, tysiące osób wyszło na ulice, aby poprzeć w manifestacji żądania równości, braterstwa i wolności dla wszystkich, niezależnie od stanu posiadania. Zgromadzeni żądali równego udziału w przyszłości, inni – dochodu gwarantowanego.

Milionowa manifestacja szła spod Pałacu Kultury i Nauki w kierunku Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Ignacy też w niej uczestniczył. Na wysokości placu Konstytucji naprzeciw manifestantom stanęli policjanci ze szkoły oficerskiej w Szczytnie, oddziały prewencji i czarne koszule, oddziały policyjnych morderców.

Manifestacja zatrzymała się na wejściu do placu przy ulicy Marszałkowskiej. Policjanci, długi czarny szereg, stali nieruchomo. Przez megafony rozległ się komunikat Policji.

– Na podstawie Prawa o stanie wyjątkowym, należy się rozejść i powrócić do codziennych zadań. Nieposłuszni będą ukarani.

Kilkanaście osób w manifestacji niedaleko Ignacego zaczęło zachęcać do dalszego marszu. Koło Ignacego starsza kobieta powiedziała, że nic im nie będzie, że mają prawo manifestować, że jest ich manifestantów za dużo, że nadchodzi zmiana jakościowa.

Nagle koło niej pojawili się atletyczni mężczyźni i wykręcili jej ręce, zaczęli się przepychać w kierunku granicy manifestacji. Kobieta jęczała cicho. Inni manifestanci zaczęli się dopytywać, co się stało. Ignacy nie usłyszał odpowiedzi, ale zobaczył, że atletyczni mężczyźni są atakowani przez manifestantów i padają na ziemię. Kobieta został uwolniona. Podniosła pięść do góry i krzyknęła. Przez tłum przebiegła fala i manifestacja ponownie ruszyła.

– To jest ostatnie ostrzeżenie – przez megafon powiedział policjant.

Manifestacja dalej szła. Ignacy usłyszał trzaski, jakby ktoś ła-

mał deskę. Manifestanci zatrzymali się. Ignacy usłyszał ryk i krzyki z przodu manifestacji.

– Strzelają – ktoś krzyknął.

Ignacy w tym momencie przekroczył linię dzielącą posłusznego obywatela od wolnego człowieka. Miał tego wszystkiego dość, ciągłych kolejek, brudnych ubrań, głodu, chłodu, braku przyszłości. W jakim świecie przyszło mi żyć, że nic nie jest mi dane, nic nie mam, a jeszcze mi wszystko zabierają, myślał gorączkowo. Zrozumiał, że jego całe życie prowadziło do tej decyzji, twardej, bo ostatecznej. Ignacy rozejrzał się wokół, zobaczył zmęczone twarze ludzi sponiewieranych.

– Ludzie – krzyknął Ignacy – co nam po takim życiu?

Otaczający go ludzie zatrzymali się i spojrzeli na niego.

– Ludzie – krzyknął Ignacy, do wtóru trzasków wystrzałów – śmierć jest niczym dla nas.

Ludzie, kobiety i mężczyźni, stali niezdecydowani.

– Ludzie – krzyknął jeszcze raz Ignacy – śmierć jest niczym dla nas, naprzód po przyszłość naszą i naszych dzieci.

Jego krzyk poruszył najgłębsze marzenie w życiu każdego manifestantów. Zaczęli skandować, do otaczających Ignaca ludzi przyłączali się inni. Manifestanci ruszyli w kierunku Sejmu. Ignacy zaczął biec razem z innymi. Przed sobą usłyszał łomot, jakby wiertarki, koło niego ludzie zaczęli padać, zatrzymywać się w miejscu, siadać. Na ziemi pojawiły się plamy krwi z ciał postrzelonych. Ignacy nie myślał – wreszcie działał.

Ignacy został śmiertelnie postrzelony na schodach Sejmu. Jego poświęcenie i najwyższe poświęcenie innych warszawiaków rozpoczęło lawinę, która zmiotła dawny porządek.

Prawdę mówili, że przyszłość będzie piękna, że Warszawa bę-

dzie piękna. W końcu Warszawa się zmieniła. Ludzie, społeczność, budynki, ulice – zmieniły się. Na lepsze.

Zielone powstanie

Słońce zachodzi.

Za kilkanaście minut zrobi się ciemno. Stoję w oknie na pierwszym piętrze bloku i patrzę na pierwsze piętro bloku obok. Ostatnie barwy zachodu nikną. Widzę w oknie sylwetkę. To ona, moja Agatka. Chcę mi się płakać, ale się powstrzymuję.

Widzę, że ona włącza latarkę i świeci w moim kierunku. Drżą mi dłonie, gdy włączam swoją. Agata podnosi snop światła i opuszcza. Staram się powtórzyć jej ruchy. Po kilku minutach wyłączamy światło i po prostu patrzymy na siebie przez te kilkadziesiąt metrów.

Tak za nią tęsknię.

Słyszę dzwonek. Odchodzę od okna. Dzwonią na kolację. Schodzę razem z innymi, z całego bloku zostało nas może dwadzieścia osób, do mieszkania na parterze, gdzie dostaję kolację. Dziś na kolację jest porcja drożdżanki, płynu drożdżowo-grzybowego, pełnego witamin i białka, oraz dokładnie jeden płatek chipsów, ostatnia paczka w bloku.

Rok temu Agata poszła do koleżanki na kawę i ciastko. Do bloku obok. Już nie wróciła. Mieszkańcy tamtego bloku wprowadzili nagle izolację, została po tamtej stronie.

Każdy chciał przeżyć, my też uszczelniliśmy nasz blok.

Musieliśmy. Być. Bezlitośni.

Ale przeżyliśmy pierwsze i ostatnie powstanie roślin. Szkoda, że nie wcześniej zauważyliśmy znaków.

Kilka lat temu, pszenica, żyto, w ogóle zboża, zepsuły się. Ziarno było gorzkie, nie zawierało dużo białek i węglowodanów. Mąka z takiego ziarna doprowadzała niektórych ludzi do halucynacji, jakby była zatruta sporyszem.

Potem, może rok później, zaraza dotknęła ziemniaki. Wszystkie dojrzałe ziemniaki były całe zielone. Ich miąższ zawierał bardzo wysokie stężenie solaniny, w dawkach śmiertelnych dla człowieka. Nie było sposobu usunięcia tej trucizny.

Potem kukurydza, soja, owoce w rodzaju jabłek lub bananów przestały być użyteczne dla nas. Przestawały dojrzewać, zawierały truciznę lub traciły smak. Nawet zwierzęta nie chciały jeść.

Po kolacji, zgodnie z harmonogramem, idę naładować akumulatory. Zamieniliśmy rowery i silniki elektryczne z odkurzaczy w generatory. Każdy z nas co drugi dzień musi przejechać kilkanaście kilometrów, aby naładować akumulatory. Prąd w gniazdkach pojawia się bardzo rzadko. Raz na kilka dni na parę godzin. Woda nieco częściej.

Czasem słuchamy w grupkach odbiorników radiowych. Audycje są prowadzone bardzo rzadko. Częściej są to wiadomości wojska. Stąd wiemy, że i tak mamy szczęście, przeżyliśmy, żyjemy, trwamy.

Wielu ludzi zginęło w pierwszych dniach ataku roślin. Rośliny kwietne, róże, malwy, kasztanowce, jabłonie pewnego dnia, zamiast rosnąć, owocować, zaczęły produkować i wydalać neurotoksyny w takim stężeniu, że zabiły większość ssaków w Europie.

W pewnym sensie, szczęśliwie dla nas, neurotoksyny najpierw

uderzyły z wiatrem w hodowle zwierząt. Krowy, świnie, nawet psy, blisko ziemi, pierwsze zginęły. To było chyba ostatnie ostrzeżenie dla ludzkości.

Pamiętam, ludzi w kombinezonach ochronnych rozwożących filtry, materiały uszczelniające, antytoksyny po gminach i powiatach, ostatni reportaż TVP. Wielkie ciężarówki pełne starego, kiedyś niepotrzebnego sprzętu, teraz odnawianego na cito i wysyłanego w naród.

Kończę jazdę na rowerze. Jestem strasznie zmęczony. Jedzenie nie daje nam tyle kalorii, ile potrzebujemy. Od początku kwarantanny schudłem. Czuję to po pasku, po ubraniach, po wystających żebrach. Idę do swojego mieszkania i kładę się na materacu. Patrzę przez okno. Nigdy w życiu nie widziałem tylu gwiazd w Warszawie. Nawet udaje mi się zobaczyć pas gwiazd, który wygląda jakby ktoś na ciemnej materii wylał mleko. Chyba to Mleczna Droga. W końcu udaje mi się zasnąć.

Rano śniadanie, znów drożdżanka, tym razem z odrobiną ryżu.

Wychodzę z puszką płynu i siadam na schodach. Powyżej i poniżej siadają inni mieszkańcy bloku. Dzieciaki krzywią się na smak drożdżanki. Po chwili kończę swoje śniadanie, to tylko szklanka białego płynu. Schodzę oddać puszkę do mycia. Na ścianie przy kuchni narysowany jest podział obowiązków. Zapomniałem, że dzisiaj przypada na mnie sprzątanie po śniadaniu.

Potem do kolacji mamy tylko dwa zadania, które regularnie każdy umie wykonać. Albo sprawdzamy okna, drzwi, czy nie ma szpar, czy izolacja wytrzymuje, albo przygotowujemy kolejną partię filtrów powietrza i wymieniamy zużyte. Zajmuje to nam może ze dwie godziny, ale filtry, izolacja to ratuje nasze życie.

W roku powstania roślin, jak mówiono w radio, zanim musie-

liśmy zamknąć się w blokach, na wiosnę, wszystkie drzewa pyliły tak mocno, że na ziemi zrobiła się warstwa pyłu grubości kilku centymetrów. Te pyłki były tak drobne i tak ich było wiele, że zatykały filtry powietrza samochodów. Z dnia na dzień samochody przestały jeździć. Nie wiem dlaczego, im dalej żyję w izolacji z tymi samymi ludźmi, tym mniej pamiętam, tym mniej mam ochoty coś robić.

Już w trakcie tego pylenia, zaczęliśmy uszczelnianie okien i drzwi. Pyłki dostawały się wszędzie i osadzały się na wszystkim jak taki niezwykle gęsty kurz. Zostawić otwarte okna, kurzu było na kilka centymetrów.

Tęsknię za Agatą.

Zostało nas w bloku może dwadzieścia osób, na ponad sto mieszkań. Wielu mieszkańców zmarło w trakcie ostatniego roku. Niektórzy od reakcji alergicznej, inni z wycieńczenia, z braku leków. Każdy kogoś opłakuje, rozpacza po stracie. Czasem wydaje mi się, że to nawet lepiej, że rośliny robią z nami, ludzkością, porządek. Nie jesteśmy wartościowi, sami egoiści, zapatrzeni w swoje życie, jakbyśmy byli królami, wszystko dla nas, nic dla innych.

Nawet ze sobą nie rozmawiamy. Z początku niektórzy chcieli współpracować, nawiązać kontakt z innymi blokami. Zostali zakrzyczani przez większość, że po co, na co, teraz nie możemy ryzykować.

Nic już nas nie czeka. Śmierć, kiedy uszczelnienia zawiodą.

Ostatni atak przyszedł wraz z jesienią. To wtedy Agata poszła do koleżanki. Drzewa zaczęły zmieniać kolor liści na niebieski. Niebieskie liście, takie ciemnobłękitne, zamiast zieleni czy brązów. W radio mówili, że drzewa pompowały w liście toksyny i uwalniały

je przez aparaty szparkowe. Wydychały toksynami, które porażały układ nerwowy ludzi. Wystarczył oddech, może dwa, takim powietrzem albo dotyk opadającego liścia na skórze.

Wielu nie wróciło tego dnia.

Potem przyszła zima, klasyczny okres, gdy rośliny hibernują. Myśleliśmy, że będziemy mogli wyjść. Sąsiad z piętra wyżej wyszedł, dopiero w grudniu. Już było zimno, opadłe liście przykryte były pierwszym śniegiem. Sąsiad założył maskę gazową z jakiegoś zestawu. Wyszedł na podwórze. Patrzyliśmy na niego przez brudne okna, najpierw z niedowierzaniem, a potem z radością, że wyjdziemy, że Agata wróci, że przetrwamy.

Wtedy sąsiad chwycił się za gardło. Zerwał maskę gazową. Skąd mogliśmy wiedzieć? Potem radio podało, że w zimę drzewa iglaste produkują toksyny, że jest mniej tych toksyn, bo drzew iglastych mniej, ale nadal jest niebezpiecznie na ulicach miast. Dowiozą leki, żywność, materiały uszczelniające, filtry powietrza.

Parę tygodni później na ulicy pojawiła się zielona ciężarówka z naczepą. Wyszli dwaj ludzie w takich kombinezonach jakby kosmonauci, duże, oryginalnie białe, teraz szare, z szybkami zamiast maski gazowej, ale cienkie. Podchodzili do każdego wejścia w bloku, stawiali namiot, że obejmował drzwi, wkładali kilka kartonów.

Też dostaliśmy takie kartony. Były tam kilka racji żywnościowych, trochę lekkich leków przeciwbólowych, i ulotki, żeby produkować własną żywność, żeby nie popadać w depresję, że Polska jeszcze wielka będzie.

Kolejny zachód słońca. Stoję w oknie na pierwszym piętrze bloku i patrzę na pierwsze piętro bloku obok. Widzę w oknie sylwetkę. Moja Agata. Widzę, że postać włącza latarkę i świeci w moim kierunku. Drżą mi dłonie, gdy włączam swoją lampkę.

Ale postać w oknie nie rusza tym światłem. Gasi je. Zamiast tego zasłania okno czarną chustą, czy szkłem. Postać znika na korytarzu.

Nie mam, po co żyć.

Pomiasto Warszawa

Promem wreszcie przestało trząść. Elizabet siedziała w specjalnym fotelu. Nadal czuła się cięższa. Prom nabierał przyśpieszał, aby dotrzeć do Punktu Lagrange'a 4. Na ekranie naprzeciw fotela zniknęła informacja o prędkości, wysokości i przyśpieszeniu. Natychmiast pojawił się obraz z kamer zewnętrznych. Choć Elizabet widziała już ten widok wielokrotnie, za każdym razem coś dumnego i tkliwego chwytało ją za serce.

Post–Miasta, a znacznie częściej po prostu poMiasta – potężne pierścienie, habitaty ludzkości, o średnicy kilkunastu kilometrów – wirowały i obracały się oświetlane Słońcem w ciągłym tańcu. Z jednej strony musiały utrzymywać swoją pozycję na orbicie, z drugiej równomiernie docieplać się słońcem i emitować nadmiar ciepła w kierunku pustego kosmosu. Pomiasta wirowały i kręciły się niczym w oberku, ale tańczonym w trzech wymiarach i do nieznanej muzyki. Elizabet patrzyła z zachwytem. Cud techniki i inżynierii cywilizacji ludzkiej.

Elizabet usłyszała brzęczyk. Zostało dziesięć minut do dokowania. Elizabet odepchnęła się od fotela i wyciągnęła torbę z półki nad jej fotelem. Westchnęła. Wracała z urlopu. Urlop był zbyt krótki, ale była to cena za spełnienie morderczych terminów. Odwiedziła rodzinę, zobaczyła się ze znajomymi, przynajmniej niektórymi, wielu

już budowało poMiasta lub je zasiedlało. Ale wszystko za krótko i za szybko. No, ale – pomyślała – ciągle mnie potrzebują, ludzkość praktycznie mnie potrzebuje. Elizabet uśmiechnęła się w duchu.

Elizabet na czas budowy poMiasta została zakwaterowana w odbudowanym pałacu, poPałacu Kultury i Nauki, to razem z nią zakwaterowano praktycznie cały kontyngent budowniczych. Prawdopodobnie założono, że poPałac i tak trzeba będzie remontować, więc wszyscy na razie obecni w poWarszawie mieszkali tutaj.

Elizabet stawiła się do pracy następnego dnia po przylocie punktualnie na godzinę 7 na dwunastogodzinną wachtę. Jej pokój był częścią większej liczby pokoi, na jakie podzielono przestronne komnaty poPałacu. Choć od jej pracy zależało dużo, to wielkość pokoju wskazywała jasno, jaka jest jej pozycja w całym projekcie. Jej biurko stało daleko od okien, w pobliżu korytarza do toalet.

Elizabet usiadła, wlogowała się do sieci i zaczęła pracę. Elizabet miała pewną tradycję. Otóż pierwsze zgłoszenie z początku pracy nastawiało ją pozytywnie lub negatywnie do całego dnia. Tego dnia było to uruchomienie sieci czujników w bloku na Sadach Żoliborskich. Pomagał jej w tym technik na miejscu, Adam, zmyślny i zręczny chłopak z Radomia.

– Nie wiem co się stało – powiedział Adam w małym okienku komunikatora internetowego na ekranie Elizabet – W tym bloku już kilka pięter wpięło się w maternę.

– Zaczynałeś od góry czy od dołu? – zapytała pewnie Elizabet przez mikrofon.

– Od dołu, czyli każdy węzeł materny był dopinany do już działającej sieci. – odpowiedział Adam – ale potem coś przestało kontaktować i wywaliło mi pół bloku, praktycznie cały wczorajszy dzień roboty. A znowu mam opóźnienie i muszę lecieć na kolejny blok.

– Spokojnie – powiedziała Elizabet – sprawdzam logi, tylko muszę wpiąć się w podstację. Czekaj, jestem – z uśmiechem Elizabet zaczęła przeglądać logi. Tak, to była część pracy, którą bardzo lubiła. I pomagała koledze i coś zmieniała w świecie, w nieustannej walce z entropią, jak lubiła myśleć o swojej pracy.

– A może któraś karta jest uszkodzona? Albo gdzieś jest zimny lut ? – zasugerował po chwili milczenia Adam.

– Nie, wątpię w to, lutujemy przecież specjalnie złotem – odparła Elizabet z namysłem, ponieważ jednocześnie przeglądała pliki tekstowe podstacji Sady Żoliborskie – poza tym, miałbyś już po pierwszym takim lucie zwiększoną impedancję, na pewno byś zauważył.

Przez chwilę milczeli.

– Chyba mam – powiedziała Elizabet.

– No, no, słucham? – zapytał się zaciekawiony Adam.

– Rozpięły Ci się piętra. Pierwsze piętro przestało odpowiadać i parter nie miał kontaktu z drugim piętrem. Przy okazji właśnie wtedy węzeł zaczął rotowanie logów, czyli także restart usługi i informacja znikła, a cały budynek poszedł offline. A jak poszedł offline, to podniósł alarm.

– Dobrze, dobrze – powiedział zaskoczony Adam – już idę ręcznie wystartować piętra i sprawdzić połączenia. Dzięki ! Do usłyszenia!

Kilkanaście minut później zespół czujników wody, elektryczności, temperatury oraz automatycznych zaworów mediów, zwany kiedyś Internetem Rzeczy, a teraz Materną, zgłosił gotowość do działania. Elizabet uśmiechnęła się. Ta wachta mogła być ciekawa – pomyślała – dobrze się zaczynała.

Kilka wacht później, czasem ciężkich, czasem lekkich, wszyscy

pracownicy Działu Elizabet zostali zebrani w jednej z sal konferencyjnych na ważne obwieszczenie. Dyrektor Transbudu wyszedł na niewielkie podium i delikatnie uciszył zebranych.

– Witam was na spotkaniu – zaczął przemowę Dyrektor – chciałem Wam osobiście przekazać wiadomości. Wasz kierownik niestety, mówię niestety, bo postawił nas w trudnej sytuacji, przyjął pracę w poParyżu i wylatuje za kilka dni. Gratuluję mu awansu, ale jednocześnie, Antek, tak się nie robi.

Elizabet spojrzała się po współpracownikach z niedowierzaniem. Antoni, ten miły kierownik, starszy człowiek, przenosi się do poParyża. Inni towarzysze również wymieniali półgłosem uwagi. Dyrektor poczekał chwilę, aż gwar przycichnie.

– Jednak nasze zadania pozostają niezmienione – powiedział Dyrektor – musimy przygotować się do Exodusu, zgodnie z planem g'Dhar. Dlatego też zaprosiłem do współpracy Bazylego Wieniawę. Bazyli przez wiele lat prowadził szereg projektów informatycznych w wielu znanych firmach. Znam go z różnych konferencji biznesowych i cieszę się, że zgodził się, że będzie z nami współpracował. Poprowadzi Dział i jestem pewien, że to zadanie pójdzie mu śpiewająco. Bazyli, – zwrócił się do mężczyzny stojącego przy podium – może zechcesz powiedzieć kilka słów?

Bazyli wyszedł na podium. Elizabet patrzyła w szoku. Znała Bazylego z Liceum w Warszawie. Poczuła ukłucie zazdrości. Ona jest tylko sysadminem – pomyślała – a on jest wielkim kierownikiem w wielkiej firmie, a w liceum, to ona zawsze była lepsza. Krew uderzyła jej do głowy. Nienawidzę takich śliskich gnojków – pomyślała. Pewnie skończył jakieś super studia, wszyscy mu pomagali – myślała gorączkowo – a ja z domu, gdzie szczytem było obejrzenie adaptacji z adaptacji z powieści, a i tak ojciec przełączał w połowie, że nudne. Wspomnienie strasznie ją zdenerwowało.

– Witam was wszystkich serdecznie – powiedział Bazyli – mam nadzieję, że będzie się nam dobrze współpracowało.

Elizabet słuchała Bazylego, ale mroczne myśli nie mogły jej opuścić. Pewnie ma przyjaciół, żonę i w ogóle radość i szczęście – myślała Elizabet z zawiścią – takim jak on zawsze wszystko się udaje, a ja sama i tak ciężko pracuję. Elizabet poczuła, że do oczu napływają jej z tej żałości łzy.

Elizabet dyskretnie przesunęła się do drzwi i poszła do łazienki. Starannie zamknęła za sobą drzwi w kabinie toaletowej i zaczęła powoli oddychać, skupiać się na samym oddechu. Po kilku minutach przestała się przejmować nowym kierownikiem, przestała się przejmować, że nie jest w stanie przenieść się do lepszej pracy w innym Pomieście. Słyszała tylko swój oddech. Myjąc ręce, uśmiechnęła się do siebie, myśląc, że to dobrze że nie płakała z powodu Bazylego.

Ledwo Elizabet usiadła z powrotem przy biurku, gdy przyszła Wiadomość. Elizabet otrzymała ją jak wszyscy, jako nową wiadomość na skrzynce pocztowej.

Elizabet zawsze dziwiło, że g'Dhar bez problemu omijali coraz nowocześniejsze firewalle ludzkości, a ich Wiadomości były widoczne jednocześnie u każdego użytkownika. I to wszystko przy użyciu starożytnego protokołu SMTP w jeszcze starszym protokole TCP/IP.

W dziale podniósł się gwar wymienianych uwag, ale szybko zapadła cisza. Każdy czytał wiadomość g'Dhar. Supercywilizacja g'Dhar zmieniała terminarz. W wiadomości, napisanej poprawnie gramatycznie i stylistycznie, dla każdego w jego ojczystym języku, było napisane, że poMiasta Ameryki Północnej mijają chmurę Oorta. g'Dhar oznajmia, że nadchodzi czas na Exodus poMiast Europy. Choć Europejczycy mieli opuścić Europę dopiero za pięć lat, g'Dhar chcą odlotu w ciągu najbliższego roku.

Elizabet podniosła wzrok na kolegów. Zobaczyła na ich twarzach niedowierzanie i szok. Całkowicie podzielała ich odczucia. Plan całej ludzkości, obciążenie gospodarki, zatrudnienie było dopasowane, w zgodzie z podstawami kapitalizmu, do minimalnych nakładów i wykorzystania maksymalnego kapitału. A teraz koszty miały wzrosnąć niewspółmiernie. Kto za to zapłacić – zaczęła się zastanawiać.

Kilka dni później, wieczorem, Elizabet siedziała nad wieczorną herbatą w świetlicy piętra. Niewielka sala, na kilkanaście krzeseł, stoły, gry planszowe, niewielka wspólna biblioteczka, przypominała warszawską kawiarnię, tylko wybór ciast był znacznie mniejszy, to znaczy ciasta pojawiały się tylko wtedy, gdy ktoś wracał z Ziemi. Transbud zapewniał posiłki, ale nie zapewniał przyjemności.

Właśnie oglądała na komunibloku wiadomości poWarszawskie, gdy podeszła do niej jej koleżanka Anna.

– Ale jestem, grzecznie mówiąc, zirytowana! Żeby te alieny nas wszystkich traktowały jak zwierzęta – powiedziała Anna.

– Wiem, dla mnie też to straszne. Choć przecież nas nie zabijają, a ludzie kiedyś i siebie mordowali i niewinne zwierzęta – odparła Elizabet.

– Ale nie jesteśmy wolni, rządzą nami jakieś potwory, g'Dhar? Co to jest za nazwa? NIkt ich nie widział, tylko ta baza na Księżycu – zaczęła tę samą gadkę co zawsze Anna. – A my? Czy nie mamy prawa do własnej przyszłości? Do własnej przeszłości? Kim będziemy jak opuścimy matkę Ziemię?

– Annuszka, jesteś fajną dziewczyną – odpowiedziała Elizabet – ale powtarzasz normalnie propagandę, jak jakaś tradycjonalistka czy prawak. I to nie po raz pierwszy.

– Ale jak to?

– Jaką matkę ziemię? Nasi dziadkowie, rodzice zniszczyli ziemię, gdyby nie g'Dhar, to byśmy już wymarli, albo od wojny jądrowej albo od katastrofy klimatycznej. – Elizabet nie znosiła propagandy – Jaka przeszłość? Że Ziemia to nasza dziedzina, a czy nie należy ona także do zwierząt i roślin, w ogóle do życia, a nie tylko do ludzkości? Może to dobrze, że g'Dhar dali nam Propozycję, może inaczej nigdy byśmy nie polecieli w kosmos?

– Ładna Propozycja! Raczej ultimatum – odpowiedziała ostro Anna – no bo jak nazwać wybór, albo wymarcie gatunku, albo ludzkość przenosi się na inne planety. A teraz nawet nie jesteśmy już panami własnego czasu! Słyszałaś co teraz chcą nam zrobić?

– No, tak, strasznie przyśpieszyli nam grafik.

– Ale dlaczego, to już nam nie powiedzieli, ja Ci mówię, powinniśmy się postawić, powstać jak jeden i zawalczyć o swoje.

– Czy tak jak nasi rodzice i nasi dziadkowie?! – zapytała się głośniej Elizabet – Ile razy na pokolenie może ktoś wpaść na ten wspaniały pomysł, żeby jednak zaatakować cywilizację stojącą na wyższym poziomie rozwoju? Jakie to romantyczne! Albo wolność albo śmierć! – Elizabet podniosła głos. – Ale może ja chcę żyć, może mi się podoba exodus, może jestem wdzięczna g'Dhar za zmianę za przyszłość – zakończyła już ciszej.

– Och, Elizabet, przepraszam, po prostu nie podoba mi się ich postępowanie, a także jak my sami zgadzamy się na wszystko. – powiedziała uspokajająco Anna. – Myślałam, że możemy spokojnie porozmawiać.

– Rozumiem, ja też przepraszam, niepotrzebnie się uniosłam. – odpowiedziała Elizabet. – Wybacz, muszę skorzystać z toalety.

Elizabet z delikatnym przepraszającym uśmiechem wstała i ruszyła ku wyjściu. Po paru krokach zatrzymała się, wróciła do stolika, zabrała herbatę i skierowała się do wyjścia. Zanim doszła,

jej komblok zaćwierkał informując o powszechnym alercie. Wyłączony ekran w świetlicy również się włączył i zaczął emitować ostatnie wiadomości.

Na ekranie pojawił się obraz reportera, który stał na tle Berlina. Część Berlina co prawda już została przetransportowana do poMiasta Berlin. Ale teraz, teraz z nieba spływał jeden potężny potok ciemności, kilkukrotnie większy niż poprzednimi razy.

Na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią, strumień, potok ciemności, czerni rozdzielał się na strumienie, które pełzły w kierunku budynków. Ciemność ogarniała ostatnie piętra wielkopłytowych bloków i je fizycznie atakowała. Budynki były dosłownie zjadane przez strumienie. Widać było, że w ciemność staje się nieco jaśniejsza im niżej i te jaśniejsze potoki wracają w kierunku centrum Berlina.

Reporter podnieconym głosem tłumaczył, że zgodnie z harmonogramem przesłanym przez g'Dhar te budynki musiały być dzisiaj ewakuowane. Niestety nie wszyscy mieszkańcy odeszli do obozów przejściowych. Zgodnie z przyjętym prawem, byli mieszkańcy powinni przenieść się do poMiasta do już odbudowanego bloku, albo jak w Polsce czekać w obozach przejściowych na obrzeżach byłych ziemskich miast.

Elizabet była dobrze zaznajomiona z procesem dezintegracji. Potoki maleńkich robotów, nanobotów, rozkładały budynki, razem z ich wyposażeniem, na molekuły podstawowe. Część nanobotów natychmiast potem umierała, ale wytworzona w ten sposób energia termiczna była oddawana do innych botów. To ciągłe przesyłanie energii umożliwiało na przeniesienie molekuł betonu czy stali do centralnej części Berlina. Inne molekuły takie jak związki azotu, siarki, węgla tworzyły kolejne warstwy przyszłej gleby w miejscu dekomponowanego bloku. Po każdym bloku zostawała płaska po-

wierzchnia, bardzo szybko zresztą zajmowana przez rośliny i zwierzęta.

Choć reporter mówił, to każde jego słowo było powtarzane w napisach. Elizabet czytała z ciekawością. G'Dhar wysłali z bazy na księżycu kilka tysięcy razy więcej nanobotów na godzinę niż dotychczas. Reporter przyznawał, że eksperci nie wiedzieli, że g'Dhar mieli takie możliwości. Elizabet pomyślała, że eksperci nie wykazali się, przecież g'Dhar podróżowali pomiędzy gwiazdami.

Berlin był bardzo szybko dekomponowany. W centralnej części g'Dhar uruchomili kosmiczną fontannę. Ruch cząstek napędzanych przez reaktor g'Dhar, naprzeciw potokowi nanorobotów, porywał i posyłał masę reakcyjną na orbitę Słońca. Na orbicie słońca, zbieżnej do ziemskiej orbity, kolejna kosmiczna fontanna przepychała pozyskaną materię do punktu Lagrange'a L4.

Nagle reporter zaczął krzyczeć. Znalazł się za blisko nanostrumienia i niektóre nanoroboty zaczęły go rozkładać. Jego kamerzysta jednak był przygotowany na taką ewentualność. Kamera znieruchomiała, tak jakby była pozostawiona na statywie. W kadrze pojawił się kamerzysta z cewką Tesli. Była to metalowa pałka, na szczycie której znajdowała się cewka w kształcie torusa, rodzaj korony. Kamerzysta uruchomił cewkę. Przepływ prądu zmiennego o wysokiej częstotliwości spowodował powstanie łuków elektrycznych pomiędzy cewką a nanobotami przyklejonymi do reportera. Nanoboty uderzane łukami odskakiwały od ciała reportera i spadały na ziemię. Kamerzysta chwycił pod ramię reportera i podtrzymując go, odciągnął go do samochodu.

– Widziałaś? – Elizabet zapytała się Anny.

– No, zdecydowanie stali za blisko – odpowiedziała Anna. – Pewnie za parę dni zaczną dekonstruować Warszawę.

– Dopiero w przyszłym miesiącu. – powiedziała Elizabet przy-

siadając z herbatą do stolika. – g'Dhar muszą przenieść kosmiczną fontannę na orbicie nad Polskę. Ale to znaczy, że poMiasto Berlin odejdzie jako jedno z pierwszych.

– No i bardzo dobrze, niech Niemce wypróbują technologię obcych, przecież nawet nie wiemy nawet, czy Amerykanie jeszcze żyją, nic się nie odzywali od orbity Jowisza.

– Bo przyśpieszyli do prędkości podświetlnej – wyjaśniła Elizabet – wyszli poza naszą ramę odniesienia.

– Tak, jasne! Jakie to wygodne! Albo wylądowali przypadkiem w Jowiszu.

– Ja to bym chciała się przenieść na poMiasto Berlin – powiedziała po chwili milczenia Elizabet.

– Po co? Co, źle Ci tutaj? – zapytała się Anna.

– Tak, myślę, że tak – odpowiedziała Elizabet. – Mamy jedną szansę w naszym życiu zmienić wszystko na inne, na lepsze, a Polacy budują poMiasta w ten sam sposób. A Berlin, piękny Berlin – rozmarzyła się Elizabet – wiesz, podobno berlińczycy podjęli decyzję, w wielkim referendum, że będą budować nowy wspaniały świat. Wiesz, że tam nie będzie samochodów, ale świetny elektryczny transport miejski i kolejka i wszędzie parki ...

– A to dobre – zaśmiała się nieprzyjemnie Anna – Ty chcesz na Berlin i co jeszcze, może księcia z bajki?

Elizabet przełknęła ślinę.

– Wiesz, chyba muszę już iść – powiedziała Elizabet do Anny, wstała i wyszła.

Kilka dni później Elizabet wyszła na spacer do PoWarszawy. Miasto było już sukcesywnie zasiedlane przez mieszkańców dawnej aglomeracji warszawskiej. Coraz więcej osób spacerowało po

Nowej Warszawie i oglądało nowinki, które zostały zaprojektowane specjalnie dla nich.

Elizabet usiadła na jednej z nowych ławek, zrobionych z nowego, jasnobeżowego polimeru, bardzo trwałych, trudnych do odkształcenia czy zarysowania. Formułę przemysłowego generowania i przekształcania podarowali oczywiście g'Dhar.

Naokoło niej mijali ją ludzie. Pomiędzy ławkami były posadzone młode drzewka, ponieważ starych drzew nie wolno było przesadzać, miały zostać w starej Warszawie, jako początek puszczy.

Elizabet westchnęła i wstała. Czas wracać do pracy – pomyślała. Z powodu harmonogramu g'Dhar jej godziny pracy wydłużyły się i stały się cięższe. A zarząd nie planował zatrudniać nowych osób. Wiadomo, ich zyski były najważniejsze, nawet od zdrowia pracowników.

Z powrotem przy biurku, Elizabet wlogowała się do sieci. Przyjęła pierwsze z brzegu zlecenie i zaczęła je analizować. Jeden z budynków przestał odpowiadać na sygnały lokalnego serwera. Elizabet się zdziwiła. Takie zadania rutynowo wykonywali monterzy. Dlaczego to zostało przekazane do jej zespołu? – zaczęła się zastanawiać. Wczytała się w historię. Ten budynek to był kilkunastopiętrowy po–wielko–płytowy blok na poBielanach.

Elizabet wybrała numer lokalnej ekipy i szybko nawiązała kontakt.

– Możecie sprawdzić budynek na Piaskach?

– Nie bardzo, mamy zatrzęsienie roboty, znowu jest nas za mało do tej pracy. – odpowiedział brygadzista ekipy.

– U nas tak samo. Najwięcej jest kierowników projektów.

– No, i nie wiadomo czym się zajmują. – ze śmiechem powiedział brygadzista – Teraz już przenieśliśmy się dalej na północ. –

powiedział brygadzista. – Ale Piaski mają być na dniach zasiedlane – brygadzista po chwili dodał.

– Ot, po prostu mam dziwny incydent.

– Niestety nie mam jak Ci pomóc.

Elizabet rozłączyła się. Elizabet jeszcze raz przejrzała historię incydentu. Miała podejrzenia co może się stać, ale potrzebowała pary oczu na miejscu. Westchnęła. Może weźmie służbowy skuter i załatwi sprawę sama. Ale jest nowy kierownik, może być przeciwny. Elizabet siedziała tak chwilę w rozterce. Wreszcie wstała i zdecydowanie poszła do kierownika.

– Bazyli, jest taki incydent – Elizabet zaczęła rozmowę.

– Jaki ma numer?

– 23998109.

– Ach, widzę. – Bazyli przez chwilę wczytywał się w treść. – Lokalna ekipa nie może tego raz a dobrze rozwiązać?

– Są przeciążeni. Firma ma za dużo zadań.

– A Ty co o tym myślisz?

– Mam podejrzenie, że to zasilanie stacji nie działa poprawnie, a może przenosi jakieś dodatkowe obciążenie? Czy tak czy tak, sądzę, że jeżeli pojechałabym tam na kwadrans, pół godziny, ostatecznie zamknęłabym incydent.

– Dobrze, jedź.

Elizabet była zaskoczona. Sądziła, że Bazyli każe jej wysłać kogoś innego, a samej pracować. Czyżby nie widział, jak dużo ma pracy? A może to pułapka, żeby ją wyrzucić z pracy? Zastanawiała się nad tym, gdy szła na przystanek trolejbusów. PoWarszawa wprowadziła wszędzie transport zbiorowy. Samochody, duże obciążenie dla środowiska, były rozkładane przez nanoboty g'Dhar. Zresztą i tak stal samochodowa była potrzebna, aby zbudować pomiasta.

Budynek, cel jej podróży, był jednym ze zbudowanych w stylu modernistycznym. Wysoki prostopadłościan, z wieloma oknami, które układały się w równy rytm. Elizabet wyjęła komblok i wpięła się do podstacji. Tu wszystko było dobrze, odczyty, komunikacja – bez zarzutu.

Weszła na parter. Drzwi do lokali były otwarte. W środku znajdowały się proste i funkcjonalne meble. Krzesła, taborety, czy nawet zmywarki, nie różniły się technicznie od tych obecnie produkowanych. Jednak te przedmioty były znacznie trwalsze, miały działać nawet i ćwierć wieku. Elizabet całkowicie rozumiała powody. Trwałe wyposażenie nie obciąża tak środowiska.

Dodatkowo, celem poWarszawy była gwiazda Gliese w gwiazdozbiorze Wagi, a właściwie jej exoplanety. Przy odległości dwudziestu lat świetlnych, mieszkańcy poWarszawy musieli być przygotowani na blisko pięćdziesięcioletnią podróż z prędkością równą prawie dwóm trzecim prędkości światła. Trwałe wyposażenie na pewno ułatwi.

Elizabet sprawdzała dalej. Parter działał. Oprogramowanie serwisowe w kombloku pokazywało zielone pozytywne informacje. Elizabet podeszła do podstacji i wyjęła kable serwisowe. Wpięła jedną końcówkę do kombloka, a drugą końcówkę do podstacji. Po chwili Elizabet otrzymała pakiet danych serwisowych. Włączyła aplikację serwisową i wybrała skanowanie.

Komblok rozpoczął skanowanie budynku. Kolejne dane spływały, pojawiały się statystyki. Elizabet przyglądała się im na przezroczystym ekranie. Zaczynała zauważać pewien schemat. Zakłócenie pojawiało się na kolejnych piętrach, wstrzymywało komunikację, a potem przenosiło się na inne piętro. To dziwne – pomyślała – zwykle awarie są ograniczane przestrzennie.

Nagle dane przestały spływać do kombloka. Zakłócenie znik-

nęło z piętra czwartego. Dane pojawiły się znowu. Wszystkie piętra były dostępne i zielone. Znowu przestały spływać. Zakłócenie pojawiło się na piętrze trzecim. Elizabet wyjęła wtyczkę z gniazda serwisowego i włożyła je jeszcze raz. Tak, zdecydowanie, – pomyślała Elizabet – nie wiem, jaka jest przyczyna, ale ta przyczyna była właśnie na trzecim piętrze.

Ruszyła do klatki schodowej i weszła po schodach na trzecie piętro. Na trzecim piętrze podeszła do serwera i podłączyła się pod wejście serwisowe. Jej komblok wyświetlił informacje o błędnych częstotliwościach i zrestartował się. Elizabet spojrzała zdumiona. Jej komblok jeszcze sam się nigdy nie zrestartował. Dbała o urządzenie, więcej, wiedziała, jak dbać o takie urządzenia.

Rozejrzała się po korytarzu, jakby chciała ustalić źródło sygnałów o wysokiej częstotliwości. Jedne z drzwi, na samym końcu korytarza, się zamknęły. Elizabet zamarła. W tym budynku nikogo miało nie być. Może to złodziej, może gwałciciel – jej myśli goniły jedna za drugą. Dlaczego nie przyszła tu z kimś? – myślała gorączkowo.

Po chwili, opanowała się i zaczęła myśleć nad możliwościami. Może to tylko przeciąg. Chwilę przyglądała się innym drzwiom, ale żadne się nie poruszały. Trochę wbrew sobie, ruszyła do ostatnich drzwi. Przygotowała się w głowie na ucieczkę. Podeszła do drzwi i bardzo wolno, delikatnie drżąc, nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Elizabet przyklęknęła i otworzyła drzwi na dosłownie kilka milimetrów.

W mieszkaniu, na środku pokoju stała tyłem najpiękniejsza kobieta, jaką Elizabet kiedykolwiek widziała. Choć była ubrana w jednoczęściowy kombinezon roboczy, to Elizabet zauważyła, że jej włosy były ciemne, sięgały do ramion i delikatnie falowały. Jej sylwetka była idealna matematycznie, biodra, talia, długość nóg, gru-

bość ud, wszytko. Elizabet westchnęła. Kobieta w mieszkaniu odwróciła się szybko do drzwi. Jej twarz, delikatne ale mocne rysy, oczy otoczone delikatnie zarysowanymi brwiami. Biust pięknie wypychał ubranie robocze.

Gdy tylko kobieta zobaczyła Elizabet, skoczyła na drzwi. Elizabet zdążyła odskoczyć w bok, gdy drzwi się otworzyły do środka i kobieta wyskoczyła na korytarz. Elizabet zebrała się w sobie i stanęła wyprostowana pewnie na korytarzu.

– Nazwisko, przydział!? – zażądała ostrym głosem Elizabet. – Co tu robisz? Ten budynek jest zamknięty.

– Mieszkam tu – odpowiedziała delikatnie kobieta.

– Nie wolno tu mieszkać. Nazwisko, przydział?

– Nie mam przydziału, nie wiem jak się nazywam.

Elizabet zrobiło się żal tej pięknej kobiety. Poczuła, że niepotrzebnie ostro na nią zareagowała. Może to była pomyłka – pomyślała Elizabet.

– Jak to nie wiesz, jak się nazywasz? – zapytała się delikatnie Elizabet.

– To wszystko jest takie za mgłą, nie mogę sobie przypomnieć – powiedziała kobieta.

– A skąd masz strój roboczy? Na plakietce jest imię Julia.

– Nie wiem, skąd wzięłam to ubranie. Nie wiem, czy nazywam się Julia.

– Dobrze, może wyjdziemy na zewnątrz budynku i tam porozmawiamy? – zapytała się Elizabet.

– Nie, nie mogę – z przestrachem odpowiedziała kobieta.

– Nie możesz tu zostać, muszę Cię zgłosić.

Elizabet wyjęła komblok. Zamierzała zadzwonić do centrali, ale kobieta podeszła bliżej, wyjęła jej komblok z dłoni i ścisnęła palcami. Komblok zapiszczał, ekran zgasł. Elizabet w szoku cofnęła

się pod ścianę. Nie wiedziała, co robić. Uciekać, wołać pomoc, jak przeżyć – myślała gorączkowo.

Kobieta odsunęła się o kilka kroków. Z jej dłoni wysypały się kawałki sztucznego szkła i drobne odłamki płytek elektronicznych.

– Nie chcę Cię skrzywdzić – powiedziała kobieta. – Ukrywam się. Wiedziałam, że nikt tutaj nie przebywa, ale byłam zaskoczona Twoją obecnością. Nie możesz o mnie nikomu powiedzieć.

Kobieta przyglądała się jej uważnie. Po dłuższej chwili, powiedziała:

– Spójrz na mnie!

Elizabet spojrzała.

– Widzę, że się boisz – zapytała się kobieta – Może zaczniemy jeszcze raz?

Elizabet kiwnęła głową, to daje mi trochę czasu – pomyślała – Może uda mi się wyrwać.

– Nazywam się Julia, zgodnie z plakietką – powiedziała kobieta – nie mam przydziału. Ukrywam się, ponieważ jestem androidem. – dodała po chwili, za szybko.

Elizabet spojrzała się zdziwiona na Julię.

– Ale jak to android? Do czego? – zapytała się Elizabet – Przecież ta technologia jest nieopłacalna. W Polsce nie było nigdy planów rozwoju robotyki.

– Nie znam szczegółów. Pracowałam w próżni, ale teraz mieli mnie zdezaktywować, nazywali to pokrętnie dezinstalacją. – tłumaczyła Julia – Nie chcę być zdezinstalowana. Uciekłam. Ukrywam się tutaj.

– No, ale ja mogę stracić pracę, jeżeli nie zgłoszę nielegalnego mieszkańca.

– Ale mnie zdezaktywują! – powiedziała Julia – proszę, pomóż mi! Przepraszam, jak Ci na imię?

– Elizabet.

– Proszę Cię Elizabet, pomóż mi, muszę tu przetrwać kilka dni, a potem ucieknę dalej. – błagała Julia.

Elizabet spoglądała na najpiękniejsza kobietę, jaką kiedykolwiek poznała, z zaskoczeniem, ale i z głęboką i niewytłumaczalną sympatią. Ona była taka piękna, dlaczego nie miałabym jej pomóc – myślała Elizabet – Jeżeli to tylko kilka dni, to przecież nic się nie stanie.

– Dobrze, pomogę Ci – powiedziała Elizabet – ale nie możesz opuszczać tego piętra. Inaczej znowu wyłączy się materna i ktoś przyjedzie to naprawić, co zwiększa ryzyko Twojej ekspozycji.

Julia z radości zaklaskała i zrobiła piruet. Elizabet z przyjemnością patrzyła na piruety Julii. Dla piętra, na którym miała przebywać Julia, Elizabet zrobiła mostek i ominęła problematyczne jednostki. Reszta prac poszła Elizabet sprawnie.

– Muszę już wracać, Julio – powiedziała Elizabet. – Jutro będę musiała po pracy przyjechać, aby ustalić, dlaczego wyłączasz maternę na piętrze, ale to dopiero jutro.

– Wspaniale, postaram się nigdzie nie wychodzić.

Elizabet siedziała nad kawą przy stacji roboczej i sprawdzała incydenty do wykonania na tej zmianie. Znowu było ich dużo, znowu wiele z tej pracy można by wykonać automatycznie. Elizabet miała dość. Wreszcie zdecydowała się na spotkanie z Bazylim.

– Moja sprawa jest prosta – zaczęła swoją przemowę Elizabet. – Chcę się przenieść na poBerlin.

Bazyli spojrzał się na Elizabet z delikatnym uśmiechem.

– A dlaczegoż to, moja droga, chciałabyś się przenieść na poBerlin?

– Bo chciałabym rozwijać się zawodowo, uczyć się nowych rzeczy...

– A tu nie możesz? – przerwał jej Bazyli.

– No, nie, ostatnie, no teraz to już będzie rok, zajmuję się tymi samymi rzeczami, ważnymi, wiem, że ważnymi – tłumaczyła się Elizabet – ale tymi samymi, mam jeszcze w sobie chęć, żeby coś zrobić ze sobą, żeby pójść dalej, żeby uczyć się, żeby się zwyczajnie rozwijać.

– Ale przecież tutaj możesz się rozwijać, mamy ciekawe programy edukacyjne, a jak wyruszymy w kosmos, to na pewno znajdziesz jakiegoś miłego chłopaka i na pewno sobie ułożysz życie – z delikatnym uśmiechem powiedział Bazyli.

Elizabet zacisnęła zęby. W środku niej rosła taka niechęć do tej jej pracy, do Bazylego, do jego pretensjonalności. Elizabet nie chciała wybuchnąć gniewem, nie w pracy, nie na warunkach i miejscu, gdzie nie mogła wygrać. Uśmiechnęła się do Bazylego, ale w oczach czuła zbierające się łzy.

– Rozumiem – powiedziała Elizabet, siląc, żeby nie wykrzyczeć swojego gniewu – dobrze, czyli ewentualne przejścia na inne placówki nie są możliwe?

– Ależ oczywiście, że są możliwe, ale po co? – odpowiedział Bazyli – Zresztą takie migracje pomiędzy pomiastami nie są mile widziane, wszyscy chcieliby przenieść się do poSztokholmu lub poGoteborga, prawda? – dodał żartobliwie.

– Jasne, to nie będę już przeszkadzać.

– Ale jakby co, moje drzwi są zawsze otwarte – powiedział Bazyli.

Elizabet wyszła z pokoju Bazylego. Spokojnie poszła do toalety, sprawdziła, czy nikogo nie ma w kabinach. Potem usiadła w jednej z toalet i zaczęła płakać z bezsilności wobec takich mężczyzn, wobec

skazania jej na poWarszawę. Po kilku minutach uspokoiła się na tyle, aby móc wyjść i wrócić do pracy.

Choć Elizabet obiecała sprawdzić stan Julii w ciągu najbliższych dni, zajęło jej to ponad tydzień. Jej dzień pracy wydłużył się, gdy Ratusz Warszawy zaczęła wysyłać mieszkańców Mokotowa i Śródmieścia, dwóch największych dzielnic, do poWarszawy. Promy lądowały jeden za drugim. Dobrze, że podchodziły do lądowania w przestrzeni trójwymiarowej, zmniejszyło to potencjalne „korki" w kosmosie.

Każdy nowy mieszkaniec, każda rodzina musiała być wprowadzona do mieszkania, wpięta do systemu tożsamości i materna musiała być przyuczona do nowych mieszkańców. Razem dawało to bardzo dużo pracy, bardzo dużo incydentów, które zespół Elizabet musiał szybko i sprawnie usuwać.

Przed wyjazdem Elizabet zaczęła dyskretnie sprawdzać budynki na Piaskach, w tym ten budynek, w którym przebywała Julia. Coś się jednak nie zgadzało. Systemy budynku były niedostępne. Gdy próbowała sprawdzić parametry materny, dostawała komunikat o podporządkowaniu budynku przez policję. Rozejrzała się po sali, czy nikt jej nie obserwuje. Nikt nie obserwował. Zaczęła sprawdzać kolejne komponenty, żeby ustalić swoje możliwości.

Nagle usłyszała chrząknięcie nad prawym ramieniem. Po skórze na plecach przebiegły jej ciarki. Podniosła wzrok, to był Bazyli.

– Słucham – powiedziała szeptem Elizabet – hmm, słucham – powiedziała głośniej.

– O, widzę, że sprawdzasz ten budynek, który miałaś naprawić. To bardzo dobrze, policja znalazła tam nielegalnego mieszkańca i pytają się, czy może coś widziałaś?

– Nielegalnego? – zdziwiła się teatralnie Elizabet – nie, nic nie widziałam.

– Niestety, ale oni muszą to usłyszeć od Ciebie – powiedział Bazyli – musimy pojechać na komendę policji.

– Ale ja mam dużo pracy – zarzekła się Elizabet.

– Wiem, ale w tej firmie współpracujemy z policją, nawet kosztem naszej pracy niestety.

Elizabet nic nie odpowiedziała.

Policja, zupełnie inaczej niż w Warszawie, mieściła swoje lokale pod ziemią w piwnicach wybudowanych budynków, szczególnie przy krawędzi habitatów. Po kilkunastu minutach jazdy trolejbusem Elizabet i Bazyli dotarli do północnej komendy poWarszawy. Po kolejnych kilkunastu minutach oczekiwania zostali zaproszeni przez młodego policjanta do niewielkiego pokoju przesłuchań.

Policjant zaproponował napój, przez chwilę ustalał tożsamość, nawet pożartował z Bazylim na temat poWarszawy. Elizabet siedziała spokojnie, ale wewnętrznie zastanawiała się, czy nielegalny to ten android, czy będzie miała kłopoty, czy będzie mogła się przenieść na poBerlin. Wreszcie policjant, konstabl jak się okazało, rozpoczął przesłuchanie.

– W jaki sposób jest Pani powiązana z budynkiem na Piaskach? – młody aspirant zadał pytanie Elizabet.

– Nie jestem, przyjechaliśmy tutaj z Bazylim, moim kierownikiem, ponieważ nie dalej jak wczoraj byłam tam i o tym chciałam powiedzieć.

– W jakim celu była Pani w niezamieszkanym budynku?

– Mieliśmy kilkudniowe wyłączenie materny, wie Pan, Internet rzeczy – aspirant kiwnął porozumiewawczo głową – niestety nie mieliśmy kogo tam wysłać, a ten budynek, zresztą cała Warszawa za

chwilę będzie zasiedlony. Dlatego w porozumieniu z kierownikiem pojechałam załatwić sprawę samodzielnie.

– Dobrze, i co Pani znalazła na miejscu? Czego była Pani świadkiem? – zapytał się aspirant.

– Awarię łączy międzypiętrowych. NIe mogły zsynchronizować się łącza, powodowało to kaskadę usterek, bo hosty broadcastowały swoją pozycję i stan, stąd przeciążenie, a nawet DOS dla serwera budynku, gdy nagle dostawał kilka tysięcy zapytań, nie wiem dlaczego nie wybrali UDP do takich zadań. No, ale zsynchronizowałam poszczególne piętra w trybie slave i ...

– Dobrze, dobrze, ale czy Pani zauważyła coś dziwnego, cokolwiek, otwarte drzwi, wybite okno? – szybko przerwał aspirant.

Elizabet wstrzymała się z odpowiedzią. Z jednej strony nie chciała mówić o Julii, ale z drugiej strony głęboko wyćwiczona reakcja wymagała, aby nie kłamać policjantom. Aspirant zauważył jej wahanie.

– Czy zauważyła Pani coś dziwnego? – zapytał aspirant ponownie tym razem patrząc już bezpośrednio na nią, a nie jak wcześniej na komblok.

– Nie, nie bardziej niż na innych budynkach – pewnie odpowiedziała zdecydowana Elizabet.

– Aha, dobrze, może zostawię Państwa teraz na chwilę i przygotuję protokół?

Aspirant wyszedł z pokoju. Bazyli i Elizabet siedzieli w milczeniu. Elizabet podejrzewała, że są nagrywani, że w sytuacji relaksowej powiedzą więcej niż powinni, więc milczała. Elizabet jednak nie wiedziała, dlaczego Bazyli milczy.

Kilkanaście minut później do pokoju wszedł starszawy mężczyzna w ciemnym garniturze z papierową teczką. Elizabet i Bazyli spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Aspirant Tkaczyk zaraz do was przyjdzie, ale zanim to się stanie, chciałem kilka spraw uściślić. – powiedział mężczyzna.

– Kim Pan jest ? – zapytał Bazyli.

– To, Panie Wieniawa, nie jest Pańska sprawa. Może pójdzie Pan na kawę? – ostro odpowiedział mężczyzna.

– Ale ja tutaj jestem ...

– Nie, nie jest Pan. Do widzenia. – obcesowo odparł mężczyzna.

Bazyli, zaszokowany, wyszedł z pokoju. Elizabet obserwowała tę wymianę ze zdziwieniem. Nie zdążyła zaprotestować, a Bazyli ją zostawił. Kierownik, phi–pomyślała wzburzona.

– Teraz możemy porozmawiać. – powiedział mężczyzna.

– Tak? – odpowiedziała Elizabet

– O tym co widziałaś i czego nie powiedziałaś.

– Ale ja mówię prawdę.

– Nie, nie mówisz.

– Kim pan jest? – zapytała się Elizabet podniesionym głosem.

– Nie muszę Ci się tłumaczyć – powiedział mężczyzna. Spojrzał się na Elizabet. Westchnął. – Powiedzmy, że jestem z tej części policji, której nie chcesz spotykać, Pani Arendt. – dodał mężczyzna. – Nawiasem mówiąc, Arendt to nie jest polskie nazwisko, Elizabet także nie jest polskie. Czy jest Pani Polką?

Elizabet nikt nigdy nie zarzucał niepolskości.

– Polonica civis sum i wypraszam sobie takie traktowanie.

– Tak, zgadzam się, jako Polka powinna Pani być dobrze traktowana, chyba że Pani zdradziła Polskę. Wtedy jako zdrajczyni nie ma Pani praw.

– Co mi Pan imputuje?

– Działanie na szkodę Polski!

– Że co!?! – krzyknęła Elizabet. Wstała.

– Że tak! – krzyknął mężczyzna – Siedzieć! – krzyknął. Elizabet usiadła na swoim krześle.

– No, ale jak to tak można krzyczeć, nic nie zrobiłam – powiedziała wzburzona Elizabet.

– Wiemy, że byłaś w tym budynku, że widziałaś się z androidem, że przekazał Ci wiadomość od g'Dhar. Komu ją przekazałaś?

– No, teraz to już śmieszne, i może krasnoludki były tam i mi pomagały pozamiatać – panicznie zaczęła ironizować Elizabet.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy. Zebrał dokumenty i wyszedł z pokoju. Elizabet posiedziała jeszcze kilka minut, ale nikt nie przychodził, więc zebrała swoje rzeczy i wyszła.

Kilka dni później Elizabet zdecydowała się na spacer. Potrzebowała jakiegokolwiek relaksu, odpoczynku. Odbyła kolejny dwunastogodzinny ciężki dzień pracy. Znowu nie miała żadnej pomocy, tylko kolejne zlecenia i stawanie na głowie, aby je załatwić. Pod koniec zmiany ostatecznie się zdecydowała, chciałaby pójść na lampkę wina.

Niedaleko poPałacu mieszkańcy poWarszawy uruchomili masową kawiarnię. Była to wielka sala pełna rozmawiających ludzi, siedzących na białych krzesłach i przy stolikach wydrukowanych na pierwszych prywatnych drukarkach trójwymiarowych. Elizabet nawet nie chciała się zastanawiać, czy drukowanie kolejnych krzeseł było właściwym wykorzystaniem tych maszyn.

Elizabet podeszła do długiej lady, gdzie zamówiła kawę po irlandzku. Sama ją sobie zaniosła do jednego z pustych stolików, ten stał niedaleko toalet. Szczęśliwie, nanoboty czyściły toalety samodzielnie i znacznie lepiej niż ludzie.

Elizabet siedziała nad kawą i przyglądała się innym gościom tej kawiarni. Młodzi, starzy, piękne, energetyczne, mężczyźni i kobiety

siedzieli, rozmawiali, flirtowali, śmiali się i kłócili. Elizabet przysłuchiwała się niedalekiej głośnej dyskusji nad urbanistycznymi założeniami poMiast. Popijała małymi łyczkami kawę. Irlandzka część kawy przyjemnie ją relaksowała.

W pewnym momencie usłyszała:

– Czy to miejsce jest wolne?

Podniosła wzrok. Zobaczyła Julię. Poczuła, że świat zawirowuje wokół niej. Julia usiadła naprzeciwko niej. Elizabet nerwowo rozejrzała się po sali, czy ktoś ich obserwuje.

– Spokojnie – powiedziała Julia – nikt mnie tu nie zna. Zresztą nikt mnie też nie szuka.

– Ale jak wydostałaś się z aresztu? – wydukała Elizabet.

– Naprawdę nie musisz się tym denerwować. – Julia spojrzała się na Elizabet – Potrzebuję Twojej pomocy.

– Jesteś uciekinierem, nielegalnym mieszkańcem poWarszawy, powinnam Cię podać na Policję

– Nie zrobisz tego, ponieważ z pewnych powodów wcześniej mi pomogłaś. Z tych samych powodów teraz też mnie nie wydasz.

Elizabet westchnęła. Julia miała rację. Julia była bardzo piękna. Była tak piękna, że Elizabet chciała jej pomóc.

– Możemy gdzieś porozmawiać w spokoju?

Elizabet zadrżała w środku z radości. Już podjęła decyzję. Mogę pomóc Julii – pomyślała.

– Tak – odpowiedziała Elizabet – w mieszkaniu będzie pewnie dużo osób, ale myślę, że możemy iść do Parku Saskiego. Co prawda drzewa są drobne, ale o tej porze powinno tam być pusto.

– Może Ty idź pierwsza, a ja pójdę za Tobą?

– Dlaczego? – Elizabet prawie się rozpłakała, że nie będzie mogła iść ramię w ramię z Julią.

– Dla Twojego bezpieczeństwa – odparła Julia – Nie chcesz

chyba być oskarżoną o jakieś nieprzyjemne rzeczy, na przykład współudział czy zdradę.

Elizabet nie wiedziała o jakiej zdradzie myśli Julia, ale zgodziła się z nią, kiwnęła pewnie głową i ruszyła przodem.

Park Saski, poPark, był zaprojektowany na większej części dawnego parku Ogrody Saskie w miejsce Teatru – Opery Narodowej. Budynek Opery był odbudowany raczej wzwyż niż wszerz, i teraz był kilkudziesięciopiętrowym wieżowcem. Sale teatralne zajmowały kilka pięter wysokości, a przykładowo pomieszczenia techniczne mieściły się na ostatnich piętrach. Ten trend, raczej w górę, niż wszerz był dominujący dla poWarszawy.

Elizabet usiadła na jednej z jasnych ławek, wykonanych z tego samego niezniszczalnego polimeru g'Dhar. Po chwili dołączyła do niej Julia. Julia udawała, że to przypadkowe spotkanie.

– Czy wszystkie androidy są takie piękne? – zapytała Elizabet.

– Nie wiem – odparła Julia.

– Nie wiesz? – spytała się zaskoczona Elizabet.

– Nie wiem, czy wy ludzie posiadacie androidy i czy są piękne – ostentacyjnie odpowiedziała Julia.

Elizabet się odwróciła do Julii.

– Chyba czegoś tu nie rozumiem, przecież jesteś ludzkim androidem?

– Hmm, jak by Ci to powiedzieć? – zaczęła Julia – Czy ufasz mi?

– Tak – odpowiedziała szybko Elizabet.

– No to nie jestem androidem, przypominam człowieka, ale to jest forma mimikry.

Julia badawczo patrzyła na Elizabet. Elizabet nie wyglądała na zaskoczoną, raczej na kogoś, kto otrzymał łamigłówkę i próbuje ją szybko rozwiązać, powiązać nieznane elementy i zrozumieć, zna-

leźć odpowiedź. Elizabet próbowała zrozumieć czego jest świadkiem.

– Czy Ty jesteś g'Dhar? – zapytała się Elizabet.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Julia.

– Jak to?

– Ludzkość tego nie wie, niech to będzie taka nasza tajemnica – powiedziała Julia z uśmiechem – ale jesteśmy podobne do pszczół.

– Jest jedna królowa – powiedziała ze zrozumieniem Elizabet.

– To akurat nie, ale larwy, dojrzałe robotnice i tak dalej, a wszystkie trudzą się dla wspólnego dobra.

– Czyli Ty jesteś larwą g'Dhar, bo gdybyś była dojrzała pracowałabyś ? – z namysłem powiedziała Elizabet.

– No, właśnie nie. – odparła Julia – To znaczy tak, jestem taką jakby larwą, ale moja komuna, gmina, nie wiem, jak to powiedzieć, jakby plemię, ale takie małe, ale nie rodzina – zapętliła się Julia – nikt tego słowa chyba jeszcze nie tłumaczył, czy macie takie swobodne stowarzyszenia wolnych członków, którzy zbierają się dla wspólnego celu?

– W Warszawie kiedyś dawno temu były kooperatywy, spółdzielnie, ludzie zbierali się i budowali domy lub prowadzili fabryki. – odpowiedziała Elizabet.

– Spółdzielnia – z zamyśleniem powtórzyła Julia, tak jakby smakowała nowe słowo. – Tak spółdzielnia to dobre słowo. No, spółdzielnia w której jakby jestem larwą, chce mnie wysłać do innego projektu, ale ja nie chcę.

– Ale dlaczego? Co to za projekt? – spytała się Elizabet.

– Jesteś ciekawym człowiekiem, ale nie wiem, czy uda mi się powiedzieć, co to za inny projekt. Myślałam, że tutaj będę działać, ale te jakby pszczoły, znaczy w spółdzielni, mówią, że potrzeby wielu przeważają nad potrzebami niewielu.

Elizabet siedziała koło Julii i słuchała z wielkim napięciem. Z tego co wiedziała, nikt nie poznał jeszcze żadnego g'Dhar, ludzkość nawet nie wiedziała jak wygląda cywilizacja, znali jej tylko fenomenalną technikę, który wyglądała jak magia wobec osiągnięć ludzkiej cywilizacji.

– Ale, ale, mówiłaś w jadłodajni, że potrzebujesz mojej pomocy? – spytała się Elizabet.

– A, no tak – odpowiedziała Julia – nie wiem, jak skontaktować się z spółdzielnią. W tej postaci, w tym miejscu, nie mam jak, nie wiem jak nawiązać komunikację.

– Dlaczego nie masz jak się skontaktować? Przecież g'Dhar złamali nasze protokoły komunikacyjne.

– Tak, ale tylko na potrzeby rady kierującej tym projektem. A ja jestem jedna na jednym z kilkudziesięciu poMiast. Prawa fizyki są nieubłagane, aby nadać komunikat, muszę mieć nadajnik.

– Ale nie chciałaś przecież mieć nic wspólnego z pszczołami, przepraszam, z dorosłymi? – spytała się Elizabet.

– Elizabet, zdradzę Ci tajemnicę, ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz – Julia pochyliła się ku Elizabet.

– Obiecuję. – odpowiedziała poważnie Elizabet.

– Dojrzewam. – powiedziała Julia – Myślałam, że proces zacznie się za kilka lat. Jeżeli nie wrócę do spółdzielni, nie wiem, co się może stać. Zawsze wszyscy dojrzewali w spółdzielni. Naprawdę nie wiem, co może się stać.

– A, no tak – Elizabet się zamyśliła. – A gdybyś się zgłosiła na policję?

– Obawiam się, że ta opcja już nie wchodzi w grę. Po tym jak policjanci mnie potraktowali jakimś prądem w tamtym budynku, obudziłam się w pokoju bez okien, bez klamek. Odnosiłam wraże-

nie, że nie wiedzieli z kim mają do czynienia. Nawet nie przynieśli mi kubka wody.

– Ja w tej sprawie miałam straszną rozmowę. Wiesz, wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś zniknęła w laboratoriach ziemskich. – powiedziała z troską Elizabet

– A moje prawa? Myślałam, że ta cywilizacja jest na etapie komunizmu i prawa jednostki są przestrzegane. Wolność idzie w parze z równością, nieprawdaż?

– Przestań, to kłamstwo – powiedziała Elizabet – miliony osób zginęło w dwudziestym wieku przez komunizm. To nie dla nas, nie dla ludzkości. Działa tylko kapitalizm.

Julia spojrzała się badawczo na Elizabet. Westchnęła.

– Aha, ale hipoteza, że komunizm się nie sprawdza nie została jeszcze potwierdzona, nieprawdaż – powiedziała Julia – Z jednego nieudanego doświadczenia nie można wnioskować o prawdziwości lub fałszywości hipotezy?

– Ale społeczeństwa nie podlegają prawom nauki, nikt nie wie, jak działają społeczeństwa, jak działa historia.

– Prawa historii, przecież one istnieją. – powiedziała Julia. Westchnęła. – Może zadaj sobie pytanie, komu zależy na tym, żebyś nie zadawała pytań, żebyś maszerowała w szeregu nie myślała, odrzucała idee bez ich przemyślenia?

Elizabet popatrzyła zdumiona na Julię. Nikt tak do niej nie mówił – pomyślała.

– No, ale pytanie brzmi jak Cię stąd wysłać do g'Dhar? – zmieniła temat Elizabet.

– Dlatego potrzebuję Twojej pomocy.

– A ile mamy czasu? Wiesz kiedy będzie niebezpiecznie dla Ciebie?

– Nie wiem, może kilka dni, a może kilka godzin.

Elizabet zaczęła się zastanawiać. To była dla niej niezwykła sytuacja. Elizabet była zaskoczona tym, że Julia okazała się g'Dhar, tym, że prawdopodobnie pomagając Julii, Elizabet zdradza ludzkość. Kręciło jej się w głowie. Nagle poczuła dłoń Julii na wierzchu swojej dłoni. Podniosła wzrok. Julia patrzyła się na nią. Elizabet poczuła się lekko.

– Czy pomożesz mi, Elizabet? – zapytała się Julia.

– Tak – odpowiedziała Elizabet.

Godzinę po zakończeniu dnia pracy w Transbudzie, do budynku poPekinu weszła Elizabet z Julią. Julia udawała, że jest technikiem, była ubrana w strój roboczy. Elizabet zabrała ją do swojego biura.

– Mam pomysł, ale nie wiem, czy mi się uda – Elizabet tłumaczyła Julii, jednocześnie siadając w fotelu i startując komputer. – Pomysł polega na wysłaniu komunikatu, ale potrzebuję treści, czegoś, co ... O, dostałam jakąś pocztę, a nic ważnego, czegoś co Twoja spółdzielnia zrozumie.

– Co to mogłoby być?

– Może jakiś cytat, może jakiś wiersz.

– Może – odpowiedziała zamyślona Julia. – Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata, Przed nami niechaj tyran drży! Lecz się odmieni krzywda krwawa, Gdy równość stworzy nowy ład.

– Super, to mi wystarczy – powiedziała Elizabet. – Teraz zapisujemy to w formie numerów w tablicy kodowej, – palce Elizabet tańczyły po klawiaturze – teraz tworzymy z tego ciąg binarny, zero–jedynkowy. Dobrze, gotowe.

– I co teraz?

– Spróbuję wysłać sygnał, poprzez miganie całą poWarszawą, wiesz, wyłączając i włączając całe poMiasto. To powinno zwrócić uwagę właściwie wszystkich.

– Możesz to zrobić?

– Tak, myślę, że tak. Znam hasło administracyjne. A program jest dość prosty – z uśmiechem powiedziała Elizabet.

Palce Elizabet zaczęły tańczyć na klawiaturze. Na jej dwóch ekranach zaczęły uruchamiać się kolejne okna, część kolorowa – mapy, przyciski, wykresy, część czarno-biała – pełna napisów, tekstów białych na czarnym kolorze. Kilka minut później Elizabet powiedziała:

– Dobra, napisałam już program, mogę go uruchamiać.

Julia przechyliła się do Elizabet i spojrzała jej w oczy. Elizabet wstrzymała oddech.

– Bardzo Ci dziękuję.

Julia się odsunęła, a Elizabet nacisnęła przycisk na klawiaturze. Nic się nie stało. Elizabet nacisnęła kilka przycisków. Nadal w budynku było włączone światło. Na kolorowych mapach nadal wszystkie pola były zielone.

– Poczekaj, chwilę zaraz muszę coś jeszcze sprawdzić – wymruczała do siebie i do Julii Elizabet. – O, przyszła poczta.

Elizabet spojrzała na nową pocztę w skrzynce odbiorczej. Uśmiechnęła się i odwróciła do Julii. W tym momencie, drzwi do biura wpadły do środka z hukiem. Do środka wparowali mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych i uzbrojeni w broń palną.

– Policja, na ziemię, uzbrojona policja, padnij – usłyszała Elizabet. Julia stężała i przesunęła się w kierunku policjantów.

– Nie!!! – krzyknęła Elizabet. Julia się rozluźniła.

Policjanci już byli przy Elizabet, pchnęli ją na podłogę. Po chwili poczuła na nadgarstkach kajdanki. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Julia nie została obezwładniona, w jej kierunku policjanci mierzą z broni. W oczach Elizabet pojawiły się łzy.

Za policjantami do sali wszedł Bazyli wraz ze starszawym męż-

czyzną, którego Elizabet zapamiętała z komendy policji. Mężczyzna powiedział coś do pierwszego policjanta z brzegu. Elizabet została podniesiona do pozycji stojącej, ale policjanci nie przestali celować w Julię.

Mężczyzna podszedł do Elizabet, wybierając taką drogę, żeby nie stanąć pomiędzy Julią a policjantami. Julia czujnie obserwowała otoczenie.

– Czy mogłabyś przemówić swojej koleżance do rozsądku? – powiedział mężczyzna.

– Ja? To wy w nią mierzycie.

– Współpracuj, a może nie zostaniesz skazana na pozostanie na Ziemi.

– Spadaj – hardo odparła Elizabet.

– To jest g'Dhar, pomagasz g'Dhar, jesteś zdrajczynią – wysyczał mężczyzna – albo pomożesz, albo zaraz tu będzie jatka.

– Weź powiedz jej, żeby się uspokoiła – dodał Bazyli.

– Bazyli nie wtrącaj się. A wy przestańcie mierzyć w Julię.

– Julio, poddaj się – do Julii zwrócił się mężczyzna. – Nie uda Ci się uciec.

– A czy Ty wiesz, kim ja jestem? – odparła Julia.

– Tak, jesteś odrzutem g'Dhar, uciekinierem bez prawa powrotu. – powiedział mężczyzna.

Elizabet zdziwiła się. Przecież mówiła zupełnie co innego – pomyślała – co tu się dzieje?

– Panie starszy – Elizabet zwróciła się do mężczyzny. – chyba nie jesteś do końca dobrze poinformowany.

– Milcz, szpionie – powiedział mężczyzna. – Julio, poddaj się. – dodał w kierunku Julii.

Julia rozluźniła się, opuściła głowę, podniosła ręce na boki. Policjanci lekko przestali być napięci. Julia podniosła głowę i spoj-

rzała w sufit. Przechyliła głowę tak jakby czegoś nasłuchiwała. Nagle uśmiechnęła się i zwróciła do Elizabet.

– Elizabet, teraz na ziemię!

Elizabet pociągnęła policjanta i przewróciła się na ziemię. Julia również padła na ziemię. W całym budynku zgasło światło. W ciemnościach policjanci zaczęli się nawoływać. Niektórzy wystrzelili na oślep. Inni zaczęli krzyczeć, ale szybko milkli.

Po dłuższej chwili ciszy, zrobiło się jasno w biurze. Ale światło nie padało z góry z żyrandoli, ale raczej przenikało z każdego kierunku. Policjanci stali, nie trzymali już w ręce broni. Elizabet nie była skuta kajdankami. Elizabet podniosła się z podłogi. Spojrzała tam, gdzie wcześniej stała Julia. Teraz koło Julii stał piękny mężczyzna. Wysoki, atletycznie zbudowany, faliste włosy spływały mu na ramiona.

– Moja spółdzielnia mnie odnalazła – powiedziała Julia.

– No właśnie to chciałam Ci powiedzieć – powiedziała Elizabet. – Oni odpowiedzieli na maila, którego wysłałam.

– To po co ta próba wysłania sygnału? – spytała się zdziwiona Julia.

– Zawsze trzeba mieć plan B – odparła Elizabet.

Mężczyzna spojrzał głęboko w oczy Julii. Julia przytaknęła i odwróciła się do Elizabet.

– Towarzysz chce Cię nagrodzić za pomoc. – powiedziała Julia – Czego pragniesz?

Elizabet nie wiedziała czego pragnie. Chciała być koło Julii na zawsze, ale to wydawało się jej niemożliwe.

– Chciałabym Cię lepiej poznać. – powiedziała Elizabet.

– Ja też, ale to chyba raczej nie jest możliwe – odparła Julia.

– Szkoda – westchnęła Elizabet. – W takim razie chce się wynieść z tego grajdołka i przenieść się do poBerlina.

Towarzysz znowu się spojrzał na Julię. Julia odwróciła się do Elizabet.

– Żegnaj, Elizabet – powiedziała Julia.

Światła zgasły. Gdy się zapaliły, ani Towarzysza ani Julii nie było w pokoju. Policjanci zaczęli się powoli zbierać. Do Elizabet podszedł mężczyzna z Bazylim.

– Chyba jest jasne, że to co się tutaj wydarzyło jest tajne – powiedział mężczyzna.

– Nie mam zamiaru nikomu o tym mówić – powiedziała Elizabet – Możecie mnie puścić?

Mężczyzna zagryzł wargi, po chwili kiwnął na policjanta i wymaszerował z pokoju.

Jakiś miesiąc później, Elizabet wysiadała z promu. Kilka dni po wydarzeniach w poPałacu, przedstawiciel prezydenta poWarszawy oddelegował ją na urlop. Do mieszkania przyszły oficjalne dokumenty oddelegowujące ją z pracy w poWarszawie do pracy w poBerlinie.

Teraz Elizabet wysiadała w porcie poBerlina, podekscytowana i szczęśliwa. Port wyglądał zupełnie inaczej niż w poWarszawie. Duże przeszklone tafle pokazywały futurystyczną panoramę poBerlina, pełną strzelistych budynków, ruchu pieszego, czystości i porządku, całkowicie odmienną od zaludnionej, ciasnej, nieuporządkowanej poWarszawy.

Na parterze, przed wyjściem, Elizabet zobaczyła swoje nazwisko na tabliczce. Ktoś po nią wyszedł, jak miło, pomyślała Elizabet. Spojrzała na osobę trzymającą tabliczkę. Jej włosy były ciemne, sięgały do ramion i delikatnie falowały. Jej sylwetka była idealna matematycznie, stosunek bioder do talii był idealny. Elizabet wes-

tchnęła. Kobieta zauważyła Elizabet i zamachała radośnie. Elizabet podeszła do niej.

– Cześć, cieszysz się? – powiedziała Julia – Tak jak Ty, dostałam urlop.

Elizabet uśmiechnęła się, uspokojona, szczęśliwa.

Gwiazdy

Siedzę w głębokim fotelu, nie myślę o niczym i myślę o wszystkim. Przede mną na wielkim ekranie, praktycznie na całej ścianie kajuty, świeci się jasnym blaskiem gwiazda. Nowe słońce, do którego w końcu zmierza ludzkość. Gwiazda Fomalhauta. Na kolanach leży e-notes. Otwarty plik, moja opowieść. Nikt ich nie przeczyta, ale pisanie przynosi mi ulgę.

Jestem na pokładzie statku międzygwiezdnego w drodze Ziemia-Fomalhaut.

Zmierzam, jako jedyny żywy pasażer tegoż statku o dźwięcznej nazwie „Prawo do szczęścia", do nowego domu ludzkości, nowej kolonii, nowej Ziemi, zależnie od tego, którego streamu słuchasz. Tak, to jest jedyny statek w tej podróży. Nie, nie korzysta z wymyślnej technologii prędkości nadświetlnych. Lot po prostu trwa około 50 lat.

Dlaczego zatem jestem świadomy? Zamiast śnić zimne sny w anabiozie, albo lecieć jako ładunek, może jako zarodki ludzkie albo może jako same mózgi, dla których wyhoduje się nowe ciała, albo, mój ulubiony temat fantastyki, jako zapis skanu mózgu w pamięci statku, aby potem zostać tylko ucieleśnionym.

Tak, przyszłość miała być tak wspaniała, piękna i cudowna, nanotechnologia, osobliwość technologiczna, miały nas uratować od

nas samych, a niezmienne prawa rynku i demokracja liberalna uratować cywilizację.

No to nie, nie udało się.

Ignorowanie naukowców przez kapitalistów i ich popleczników skończyło się bardzo źle dla ludzkości. Wielkie połacie Afryki, Azji, Ameryki stały się nie do przeżycia. Przynajmniej dla człowieka. Temperatura mokrego termometru. Jeżeli człowiek nie odda ciepła, nie wypoci go, to umiera. Tak jak mieszkańcy Afryki równikowej, część Brazylii i nie pamiętam gdzie jeszcze.

Teraz już nieważne. Zmarli nie głosują.

Oczywiście, technika rozwijała się. W kierunku nowych smartfonów, bo tam był zysk, a nie w kierunku kolonizacji kosmosu. Medycyna święciła triumfy, gdy wprowadzano kolejną tabletkę na potencję, mężczyzn oczywiście, bo kobiety zawsze miały być gotowe. A badanie glukozy we krwi wymagało pobrania kropli krwi, nadal.

I komputery, coraz szybsze, coraz precyzyjniejsze, tak wspaniale się na nich grało w te piękne gry o bohaterach i posłusznych damach, taka piękna grafika, prawie jak w rzeczywistości. Komputery, tak potężne, w każdym domu, a niektórzy wykorzystywali je tylko do oglądania filmów pornograficznych.

Czasem komputery się zawieszały, czasem programy generowały błędy. A jak się zawiesiły, to można zawsze je było zrestartować i zacząć przygodę od nowa. Zrestartować grę, program, komputer, serwer. Tylko nie da się zrestartować komputera na statku w głębokim kosmosie. Ale zawsze można posłać informatyka, prawda?

Tak, jestem tym tańszym zamiennikiem dla kilkukrotnie zduplikowanych komputerów, dla nigdy nie wymyślonej sztucznej inteligencji. Tak, moim jedynym zadaniem jest wyłączyć i włączyć komputer.

Zwykle dzień zaczynam od kawy, owsianki na śniadanie. Potem sprawdzam, czy wszystkie diody świecą się na zielono. Jeżeli nie, wyłączam i włączam czerwone diody. Potem czytam powieści, oglądam seriale, filmy, biblioteka jest bardzo bogata.

Obiad, cóż, znowu owsianka. Czasem przejdę się z mojej kajuty do windy, to jedynie piętnaście kroków, czyli czterdzieści dziewięć stóp, czyli dwanaście metrów. Na całym statku tylko tutaj utrzymuje się ciśnienie i atmosferę.

Czasem, ostatni raz chyba siedem lat temu, komputer nie reaguje na polecenie. Muszę się wtedy ubrać w kombinezon, wejść do windy, która jest także śluzą, wychodkiem i prysznicem, zjechać na właściwy poziom, podejść do komputera, przełączyć wajchę od zasilania, policzyć do sześćdziesięciu, przełączyć wajchę na włączone. Powtórzyć kroki w przeciwnym kierunku. Prawdziwa zabawa, nieprawdaż?

Jak się tutaj znalazłem?

Będziesz kosmonautą, obiecywali, niczym Pirx, mówili. Tylko kilkadziesiąt lat, mówili, potem cię odmłodzimy, opowiadali. Do końca nie rozumiem, dlaczego się zdecydowałem. Może dlatego, że moje życie na ziemi wyglądało bardzo podobnie. Oni musieli o tym wiedzieć, tylko ja byłem na szkoleniach i ćwiczeniach, nigdy nie spotkałem zmienników.

Ale nie o tym chciałem pisać. Chciałem napisać o tym co zamierzam. Mam już dość. Siedzę na tej łajbie ponad dwadzieścia lat. Czasem przez kilka dni nie wstaję z łóżka. Nikomu to nie przeszkadza. Czasem przez kilka dni nie restartuję żadnego z komputerów, choć czerwone lampki świecą się niczym nowa konstelacja w galaktyce zieleni. Nikomu to nie przeszkadza.

Czasem marzę o śnie, takim ostatecznym śnie, śnie bez snów, żeby zapomnieć, żeby nie myśleć, żeby nie czuć nudy, żeby już

nic nie czuć. Ale inżynierzy zadbali o to, żebym nawet nie miał jak się skaleczyć. Jedzenie jest tak miękkie, że jem je łyżką. Większość mojego otoczenia to miękkie polimery. Nie mam ubrań, chodzę nagi, sznura dla wisielców też nie ma z czego ukręcić.

Jednak udało mi się wymyślić sposób na przerwanie tego ciągu nudnych dni, nic nieznaczącej pracy. Wyłączę kolejne komputery. Myślę, że jeżeli zrobię to w dobrej kolejności, kolejne awarie spowodują kaskadę innych błędów i awarii. Jeżeli tylko dobrze to sobie opracowałem, albo zboczymy z kursu albo wyłączę system podtrzymywania życia, a to powinno skutecznie mnie zabić. No, odwagi! Wszystko jest lepsze niż to!

Obudziłem się w miękkim łóżku, coś mi tutaj nie grało. Barłóg na statku był polimerowy, a teraz zdecydowanie czuję płótno i ten zapach, lekki kwiatowy. Otworzyłem oczy, ściany miały zupełnie odmienny kolor od mojej kajuty. Znaczy miały inny kolor niż białokremowa ściana.

Nagle zobaczyłem innego człowieka. Straciłem przytomność. Obudziłem się, było już ciemno. Nie otwierałem oczu, zastanawiałem się gorączkowo, co wiem na temat halucynacji. Dlaczego po dwudziestu latach zaczynam mieć zwidy?

W końcu otworzyłem oczy.

Na krześle obok łóżka siedział lekarz. Gdy zobaczył, że otworzyłem oczy, zaczął mówić:

– Spokojnie! Przypomnij sobie! Kwant, Kazimierz, Zieleń, Magnetyzm!.

Zacząłem oddychać bardzo szybko, choć nie chciałem. Głowa mnie rozbolała, tak nagle, przed oczyma zobaczyłem najpierw czerwone, potem złote płatki. Oczy zaczęły mi łzawić i zacząłem ostro

kichać. Po kilkunastu sekundach oprzytomniałem. Odetchnąłem głęboko. Spojrzałem na lekarza. Uśmiechnąłem się.

Przypomniałem sobie moje życie, spędzone przed komputerem, przypomniałem zgłoszenie do programu kosmicznego i propozycję lotu w charakterze asystenta ds. ręcznego resetu komputerów. Przypomniałem sobie, że było to tylko kilkunastoletnie doświadczenie, które właśnie się zakończyło.

– Twoje zadanie zakończyło się sukcesem – powiedział lekarz i uśmiechnął się do mnie.

Jasna cholera, nawet nie poleciałem badać nieznane.

Nostalgia

To nie jest opowiadanie fantastyczne, to nie jest kryminał. To jest tylko historia mojej przyjaźni z Arkiem.

Mieszkałem na czwartym piętrze starego bloku. Wynajmowałem, najpierw jako student, potem jako pracownik, jeden z pokoi w czteropokojowym mieszkaniu. Przez te kilka lat pozostałe pokoje były wynajmowane parom, migrantom, studentom, kobietom lub mężczyznom. Nie sprawiałem kłopotów. Gdy przychodziła moja kolej sprzątałem wspólną łazienkę, kuchnię. Poza tymi dyżurami, zwykle czytałem w pokoju.

Pewnego dnia współlokatorka, Sylwia, urządziła domówkę. Sądzę, że mnie nie lubiła, ale jednak mnie niezręcznie, ale zaprosiła. Może zostawienie kogoś w pokoju samotnie, gdy obok trwa zabawa było niewygodna, może po prostu ta dziewczyna lubiła głośne i tłumne zabawy, a im więcej, tym lepiej, nie wiem.

Grzecznie pojawiłem się na domówce. Po kilku godzinach zabawa stała się bardzo głośna. Stałem z boku z butelką piwa, prawdopodobnie tego samego co na początku.

W takiej sytuacji, zobaczyłem Arka. Arek był kolejnym znajomym znajomych gospodyni domówki. Po pewnym czasie, Arek też stanął koło mnie z drinkiem hojnie zaprawionym wódką przez gospodynię. Poczułem się niezręcznie.

Nigdy nie wiem, o czym rozmawiać z kimś, kto stoi obok. Wolałbym rozmawiać z kobietami, ale już tak staliśmy koło siebie. Nie chciałem się pytać o pracę, czy o studia. Nie bardzo też chciałem rozmawiać o swojej pracy, szczególnie, że ostatnie tygodnie były pasmem nieudanych projektów.

Zresztą widziałem, że kolega Arek też nie ma ochoty na rozmowę. Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Nikogo nie znałem, żeby swobodnie podejść do innego koła rozmawiających. Arek wyglądał, jakby zobaczył znajomego, ale nie potrafił odejść tak po prostu. Z drugiej strony, gdy unosiłem szklankę w geście toastu, odpowiadał na taki gest. To naprawdę była niezręczna sytuacja. Powoli chciałem wyjść z imprezy do swojego pokoju.

Wtedy po prostu spytał się mnie, czy czytałem Tolkiena. Ja odpowiedziałem, ironizując na temat Wielkiego Starca z Oxfordu, o tym, że czytałem jego Trylogię jako nastolatek. On zapytał się o szczegóły. Kilka minut później porównywaliśmy oceny na temat filmów, książek, seriali.

Ten wieczór był zaczynem naszej przyjaźni. Spotykaliśmy się na filmy w kinie, na dyskusje, na spacery. Czasem we dwóch, czasem we troje z moją ówczesną dziewczyną, albo z jego przyjaciółką. Siadaliśmy na ławkach, w deszczowe dni w kawiarniach, dyskutowaliśmy, ocenialiśmy, denerwowaliśmy się, śmialiśmy się, kłóciliśmy. Cudowne miesiące, jakże mi brak tego!

Arek nie mówił dużo o sobie, nie wiem, skąd pochodził. Wydaje mi się, że wolał słuchać niż mówić, ale też jeżeli się na coś nie zgadzał, to potrafił dzwonić wieczorem, żeby przedstawić kolejny argument.

Pewnego dnia w trakcie zaciętej dyskusji o wyższości dział Gaussa nad windami kosmicznymi, Arek zatrzymał się. Nie zauważyłem tego w perorze dyskusji. Stanąłem może dwa kroki dalej. Arek mil-

czał. Zanim powiedziałem słowo, podniósł rękę w geście, abym nie przerywał. Potem spojrzał się na mnie i ruszył biegiem w kierunku szpaleru drzew oddzielających chodnik od ulicy.

Byłem zaskoczony. Zobaczyłem, że zbliża się autobus. Zrozumiałem, że pod tym kątem Arek wbiegnie pod autobus. Nie mogłem nic powiedzieć, zaschło mi w gardle, nie mogłem zebrać myśli.

Arek wbiegł pomiędzy drzewa i znikł. Tam gdzie przed chwilą jeszcze biegł Arek pozostało takie odbicie, jak cień, ale lśniący i z chwili na chwilę się zmniejszający. Kilka sekund później nie było Arka, jego lśniącego cienia, a autobus z hukiem minął mnie i pojechał dalej. W promieniu stu kroków nie było żadnych osób, żadnych świadków. Roztrzęsiony wróciłem do domu.

Od tego czasu nic nie jest takie samo. Niby to tylko był kolega, kumpel, fajnie się gadało, fajnie się siedziało. Niby ciągle przyjaźń się wypala, miłość wygasa i ludzie znowu szukają drugiego, żeby być. Ale tak nagle Arek odszedł, znikł, nie ma go w moim życiu.

Zwykle codzienne zajęcia nie pozwalają mi o tym myśleć. Uważam na drodze, rozwiązuję zadania w pracy, jem obiad. Teraz już rzadziej, ale przyłapuję się, że się patrzę przez okno tramwaju na mijające drzewa i myślę co się stało tamtego dnia, jak się czuje Arek, czy jest szczęśliwy tam gdzie jest, czy tęskni za mną, tak jak ja za nim tęsknię.

Czasem widzę podobną sylwetkę, kolor włosów, czapkę, kurtkę w autobusie, tramwaju, na ulicy. Serce mi rośnie, uśmiecham się, ale podchodząc bliżej już widzę, że się mylę, że to nie ta osoba, że to kobieta, że starszy mężczyzna, że to złudzenie.

Ale dalej szukam. Szukam lśnienia, lustra do drugiego człowieka, żeby zobaczyć tam jeszcze raz Arka i jeszcze raz razem z nim się roześmiać.

Siódme twierdzenie Turinga-Tarskiego

Ten dzień miał się zapisać jako sukces. Robert wreszcie chwycił wiatr w żagle. Przez ostatnie dni nawet nie marzył o tym, że tak fajnie pójdzie mu robota. Częściej na myśl o swojej pracy magisterskiej, od razu myślał zbliżającym terminem oddania pierwszych rozdziałów i zaczynało go mdlić, a przecież taka magisterka to nic wielkiego.

Ale nie teraz. Godzina siedemnasta, sala komputerowa jednego z wielkich uniwersytetów Rzeczypospolitej Polski. Robert siedział przed terminalem. O tej porze, wczesnym, kwietniowym wieczorem dwieście czterdziestego roku na całej sali siedziało już może kilku studentów.

Terminale były połączone superkomputerem w salce obok. Za szklaną ścianą, można było dojrzeć superkomputer kwantowy. Za każdym razem, gdy Robert podnosił wzrok znad ekranu monitora, widział duży czarny graniastosłup o wysokości może dwóch metrów. Do sześcianu były podłączone różne przewody, od cienkich, grubości palca, do naprawdę grubych grubości może trzydziestu centymetrów. Niektóre przewody przesyłały dane, ale inne, znacznie ważniejsze przenosiły skroplony hel, warunek konieczny stanów kwantowych tego superkomputera.

A Robertowi wreszcie program się prawidłowo kompilował. W ży-

ciu informatycznym to jedno z bardziej satysfakcjonujących doznań, kiedy uda się usunąć większość błędów. Oczywiście, tak jak wszyscy, ostrzeżenia zwyczajnie zignorował. Cóż, nareszcie, pomyślał Robert, mogę przetestować program na zbiorze danych.

Robert rozejrzał się z zadowoleniem po całej sali. Niestety na sali siedziały już tylko dwie osoby, z jednej strony jakaś dziewczyna zatopiona w podręczniku, z drugiej strony, nieco z tyłu, chłopak w okularach wpatrzony w ekran.

Robert wpisał komendę uruchamiającą program na danych testowych. Program poprawnie załadował się do pamięci superkomputera. System operacyjny kwantowego superkomputera przydzielił zasoby. Po kilkunastu milisekundach system rozpoczął wykonywanie programu. Program pobrał dane testowe i właściwie na tym skończyło się jego poprawne działanie. Dalsza praca skończyła się bardzo szybko. Na ekranie pojawiły się kolejne linie mówiące o błędach w dostępie do pamięci, o odwołaniach do pamięci zabronionej. Robert wyszeptał po cichu kilka przekleństw.

Po kolejnej godzinie poprawiania programu, Robert uruchomił po raz kolejny sekwencję kompilacji programu. Na ekranie zaczęły szybko przesuwać się kolejne wiersze, które zawierały informacje o poprawnej kompilacji, wybranych parametrach. Już prawie kompilator zakończył swoją pracę, gdy na ekranie pojawiły się linie mówiące o porażce.

Gdy Robert przybliżył się na fotelu do ekranu, zauważył, że program kompilujący nadal działa. Zaczął czytać błędy, ale w sali błysnęło niebieskim światłem. Uniósł wzrok, zdziwiony, ale nic wokoło się nie zmieniło. Rozejrzał się po sali, ale zdaje się, nikt więcej nie zauważył tego dziwnego zjawiska. Robert spojrzał na ekran i niestety kompilator ponownie zakończył pracę.

Robert westchnął. Jego uwagę zwróciła ponownie komora su-

perkomputera, precyzyjnie dźwięk, które, był prawie pewien, wcześniej nie było. Takie delikatne buczenie, jak przy stacjach transformatorowych, dźwięk zmieniającego się pola elektromagnetycznego. Chyba w komputerze kwantowym nie powinno coś takiego występować. Cóż, może tylko mu się to przesłyszało.

Robert ponownie skupił się na czytaniu linii w logu błędów. Wychodziło na to, że uruchomiły się automatyczne blokady superkomputera. Robert nie słyszał o jakichkolwiek blokadach założonych na superkomputer. Oczywiście, znał na wylot te standardowe, dostęp do systemu plików, wydzielona przestrzeń pamięci, dostęp do stosu rozkazów i tak dalej.

Jednak log był jednoznaczny. Automaty przerwały pracę. Robert zaczął stukać w klawiaturę. Po kilkunastu minutach okazało się, że system operacyjny wykazuje, że blokady są założone na superkomputer, są oznaczone jako „physical". Robert rozejrzał się po pustej sali. Czy powinien je zdejmować, zaczął się zastanawiać, ale też potem je założy z powrotem. Co może się zdarzyć, zaczął racjonalizować podjętą decyzję.

Wstał i pewnym krokiem, tak jakby to robił codziennie, podszedł do drzwi prowadzących do sali superkomputera. Nacisnął klamkę, szczęśliwie drzwi były otwarte. Wszedł do środka, szybko zdemontował pokrywę kryjącą systemy kontroli superkomputera. Nie miał z tym trudności, była świetnie opisana i miała nawet zamknięcie, które nie wymagało śrubokręta.

W środku zobaczył kilkanaście pionowo ustawionych płytek drukowanych, wpiętych w szereg gniazd na większej płycie, prawdopodobnie głównej dla tej jednostki. Z analizy logu wynikało, że szósta płytka odpowiadała za hardware blokady.

– Nie rób tego – usłyszał damski głos.

Zdziwiony Robert rozejrzał się po sali, nikt w międzyczasie nie

przyszedł. Pewnie mu się przesłyszało, czas już pójść na łowy do pubu, pomyślał.

Chwycił delikatnie płytkę, jakby to był wafelek i ostrożnie wysunął ją z gniazda, na około centymetr, na tyle, aby płytka nie miała połączenia z pinami. Na wysuniętym fragmencie Robert zobaczył naklejkę „Departament 8". Ciekawe, który to Wydział Uniwersytetu, pomyślał.

Zamknął pokrywę i wrócił do terminala. Uruchomił ponownie kompilator. Tym razem kompilacja przebiegła bez błędu. Co prawda pojawiły się jakieś ostrzeżenia, ale Robert był doświadczonym programistą i nie zwracał uwagi na warningi.

Oparł się o fotel. Wreszcie jego dzieło magisterskie zostało ukończone. Wreszcie będzie mógł zacząć się bawić się i cieszyć się z ostatniego roku studiów, nie żeby przez ostatnie cztery lata żył jak mnich, choć może jako mnich tantryczny, roześmiał się w duchu z przedniego żartu.

Wpisał ostatnie polecenie rozpoczynające program i pomyślał, wreszcie koniec, co za chwila. Potem nacisnął enter i wysłał program do wykonania.

Teraz zaczęła się najczęstsza chwila w życiu programisty, pomyślał, czekanie na wyniki. Robert, uśmiechnięty, już zaczął myśleć, co będzie robił, gdzie pojedzie, kogo pozna. Wtedy po raz drugi usłyszał ten dziwny dźwięk, jakby buczenie.

Znowu błysnęło, teraz kątem oka zobaczył, że w niezamkniętej sali superkomputera. Po chwili znowu. Na niebiesko. Tak jakby ktoś włączył błyskawicę. Robert zdziwiony patrzył na superkomputer. Buczenie zaczęło narastać. Znowu błyskawica. Robert zauważył, że jedno z okien w sali superkomputera zaczęło ciemnieć, a potem zobaczył za tym oknem jakieś gwiazdy, lekko czerwonawe.

Robert spojrzał na ekran, jego program się wykonywał. Nie rozumiał, co się dzieje.

Podniósł wzrok na superkomputer. Okno przez które było widać gwiazdy było w tym samym miejscu. Natomiast z tyłu superkomputera, za nim pojawił się ogród. Robert wyraźnie widział fioletowe drzewa pod jasnoróżowym niebem.

To nie było w ogóle najdziwniejsze doświadczenie w życiu Roberta. Natomiast było najdziwniejszym doświadczeniem na trzeźwo. Patrzył się na komorę superkomputera, nie myśląc, co się dzieje. Nie uciekał, nie bał się. Lekko zafascynowany i lekko przestraszony.

I właśnie wtedy w pustce kosmicznej pojawił się ciemny kształt pełen kolców, macek, palców i oczu. Oczy były dziwne. Od małych zielonych, do wielkich wypełnionych białkiem z czarnym punkcikiem. Wyglądały inteligentnie, jak na tak wiele oczu.

Robert wstrzymał oddech. Potwór przelatywał przez okno. Już prawie minął, gdy jedno z oczu, takie zielone na długiej witce, spojrzało prosto na Roberta. Po sekundzie pojawiły się dwa następne.

Robert siedział wciśnięty w krzesło. To było tak niesamowite, że nie myślał, zastygł, jak jeleń oświetlony światłami na drodze tuż przed uderzeniem samochodu.

Przez okno wychodzące na ciemną przestrzeń pojawiło się znacznie więcej oczu, a nawet wysunęła się łapa łapiąc za krawędź otworu. Z opóźnieniem, mózg Roberta wreszcie się uruchomił, wystartowała jedna z najstarszych procedur „uciekaj lub walcz". Robert nawet nie pomyślał o opcji „walcz". Mózg Roberta po prostu stwierdził, że jest to ten moment w którym Robert powinien spanikować, w dobrym stylu, który tylu pokoleniom przodków Roberta uratował życie z rąk drapieżników przez tyle pokoleń ewolucji.

Odepchnął się od biurka, krzesło razem z nim poleciało na ziemię. Podniósł się na klęczkach na tyle, żeby wyjrzeć ponad biur-

kiem i zobaczyć, że stwór z kosmosu nie tylko wsunął łapę, ale także oko na witce i to oko, źrenica zielona, przygląda się z uwagą Robertowi.

Obserwowany przez to dziwne oko, Robert poczuł pustkę w żołądku. Poderwał się zza biurka i rzucił się w kierunku drzwi ewakuacyjnych, odbijając się od odstawionych krzeseł, uderzając się boleśnie kilkukrotnie w udo o stół. I wtedy, gdy Robert był może trzy kroki od drzwi, ktoś go podciął. Robert przewalił się na ziemię, poszorował po podłodze i zatrzymał się na drzwiach.

W ławce stała dziewczyna. Robert zauważył ze zdziwieniem jej ciemną skórę, ciemne włosy, czarny wyciągnięty sweter i jasnoszare jeansy.

Robert westchnął głośno z bólu. Dziewczyna minęła go bez słowa. Robert odwrócił się za nią. Dziewczyna podeszła do szafki z gaśnicą, kopnęła martensem w zamek. Szafka się otworzyła. Obok gaśnicy Robert zauważył przełącznik, taki czarny, bakelitowy jak w starych maszynach elektrycznych. Dziewczyna sięgnęła dłonią do środka i przekręciła przełącznik.

W sali zapaliło się super jasne niebieskie światło. Robert zamknął oczy, ale nadal widział wszystko na niebiesko, powidokiem. Po chwili blask się zmniejszył. Odważył się otworzyć oczy, najpierw zmrużone, a potem dopiero nieco szerzej. W sali panował półmrok, paliły się co drugie światła. Robert odwrócił się na brzuch i spojrzał na superkomputer kwantowy. Komputer wyglądał całkiem normalnie. Nie było żadnych dziwnych obrazów. Żadnych oczu, szponów.

Robert przyklęknął i rozejrzał się po sali. Dziewczyna siedziała przy jego komputerze i szybkimi seriami w klawisze wbijała do terminala jakieś polecenia.

Robert wstał, otrzepał spodnie z kurzu, zbierając się w sobie,

i ruszył w kierunku swojego komputera. Im bliżej biurka, tym coraz bardziej się denerwował, że jakaś brzydka dziewczyna grzebie mu w komputerze. Im bliżej, tym coraz mniej pamiętał zdarzenia sprzed kilku minut.

– A co tutaj robisz? – zapytał się Robert ostro.

– Pani – odpowiedziała dziewczyna, nawet nie podnosząc wzroku.

– Co Pani? – zapytał Robert.

– Co Pani tutaj robi, chciałeś zapytać – odparła dziewczyna.

Robert zawsze emocjonalnie reagował na objawy braku szacunku. Teraz też się zdenerwował.

– Won mi stąd, sikorko.

Sięgnął do ramienia dziewczyny. W tym samym momencie poczuł ból w dłoni, jak gdyby ścisnęły go kleszcze. Po chwili ból minął, Robert przyciągnął dłoń do piersi i objął ją drugą dłonią.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała chłodno dziewczyna.

– Jak to? Co tutaj robisz? Kim jesteś? – zapytał zaskoczony, zdenerwowany Robert.

– Kim jestem, to nieważne. Co robię, ratuję wszechświat przed głupimi chłopcami i ich głupimi programami. – Dziewczyna spojrzała na niego spod grzywki. Robert poczuł, że się czerwieni.

Po kilkunastu sekundach milczenia, Robert całkowicie bez pomyślenia, spróbował raz jeszcze.

– Przepraszam Panią – powiedział szczerze – źle się zachowałem.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Wbiła ostatnie komendy do terminala i wstała od biurka.

– Czy mogłaby Pani mi powiedzieć, co tutaj się dzieje? Kim Pani jest? – zapytał się Robert, gdy go mijała idąc do komory superkomputera.

– Nie powinna tam Pani wchodzić – powiedział Robert, gdy dziewczyna otwierała drzwi do sali – tam był potwór.

Dziewczyna obejrzała się na niego, delikatnie się uśmiechnęła i podeszła do systemu kontroli komputera. Pewnie otworzyła pokrywę. Spojrzała na wysuniętą płytkę i spojrzała na Roberta. Robert ujrzał w jej oczach potępienie. Odwrócił wzrok, jak przyłapane dziecko. Gdy spojrzał znowu, dziewczyna zamykała pokrywę.

Robert podszedł do drzwi i chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna spojrzała na niego groźnie. Podeszła do szafki opisanej gaśnica, otworzyła ją i silnie pociągnęła za dźwignię. Światło w całej sali zmieniło się na czerwone. Dziewczyna wyszła z sali superkomputera i zamknęła starannie drzwi za sobą.

– Co tu się dzieje?! Kim Pani jest? – gorączkowo zaczął się dopytywać Robert.

– Nieważne – odparła dziewczyna. – Jak się czujesz?

Robert czuł się dobrze, wreszcie dziewczyna zaczynała go traktować tak jak powinna, jak kobieta mężczyznę. Nie zdążył odpowiedzieć, gdy za nim w sali superkomputera rozległ się lekki wybuch, jak przy pęknięciu balona, a potem głośne syczenie. Robert odwrócił się i zobaczył, że na superkomputerze gasną diody, niektóre rury gwałtownie pokrywają się lodem. Syczenie stawało się coraz głośniejsze.

– Coś Ty zrobiła? – krzyknął Robert. Próbował chwycić dziewczynę za ramiona i ją potrząsnąć.

Poczuł ból, najpierw w ramieniu, potem w plecach. Przez chwilę nie mógł zogniskować wzroku. Gdy już mógł, zobaczył dziewczynę jak się nad nim nachyla.

– Tu masz wizytówkę. Jak będziesz miał koszmary, problemy ze snem i tak dalej zadzwoń. – powiedziała dziewczyna.

Robert usiadł. Dziewczyna właśnie wychodziła przez drzwi. Ro-

bert spojrzał na wizytówkę. Był to prosty kartonik z wyrysowanym kilkoma liniami ptakiem, jakby stojąca wroną albo orzeł. Pod ptakiem zapisane były numer telefonu i dwa znaki D8.

Robert spojrzał za dziewczyną nic nie rozumiejąc. Już miał się podnieść, gdy do sali wbiegli studenci i profesorowie. Wszyscy patrzyli na salę superkomputera, która była wypełniona mgłą. Jeden z nich podszedł do Roberta, pomógł mu się podnieść. Robert już miał odejść, gdy ten sam mężczyzna zatrzymał go i zapytał się:

– Co tu się stało? Kto skolapsował komputer?

– Tu była jakaś studentka, ona to zrobiła – powiedział Robert – ja nic nie wiem, o zostawiła mi tę wizytówkę.

Mężczyzna spojrzał na wizytówkę. Popatrzył na Roberta ze smutkiem, odwrócił się do kolegów i powiedział:

– de osiem.

Inni w sali tylko popatrzyli na siebie, a Robert zrozumiał, że tylko niektóre jego problemy się skończyły, teraz zaczynają się zupełnie nowe. Westchnął i schował do kieszeni wizytówkę dziewczyny.

Rok z życia Rewolucjonisty

Jasnożółta gwiazda Gliese znikała powoli za planetą. Na Nowej Brytanii kończył się dzień. Mieszkańcy stacji planetarnej Nowy Plymouth stali pod kopułą i obserwowali ruch terminusa po powierzchni planety. Patrzyli z zainteresowaniem, na stacji była to jedna z rozrywek.

Tuż za terminusem, już wieczorem według czasu lokalnego planety, zaiskrzyły się niebieskie wyładowania elektryczności, jakby pioruny uderzały wielokrotnie w to samo miejscu. Nad wyładowaniami, widocznymi z orbity, pojawiły się po chwili czarne punkty. Po kilkunastu sekundach kropki zamieniły się w sześciany. Oto planeta, Nowa Brytania, wysyłała kolejny ładunek towarów na stację Nowe Plymouth.

Nie stałem razem z mieszkańcami, ponieważ teraz zaczynała się moja praca. Kołysałem się w fotelu i obserwowałem na ekranie zarówno wyładowania działa Gaussa na powierzchni jak i wskazania telemetrii. Moje dłonie poruszały się nad poręczami fotela, tak jakbym głaskał kule wielkości arbuza. Na ekranie widziałem jednocześnie jak dwa kilometrowe łańcuchy rozgrzewały się poruszając się wężowym ruchem, w rytm moich dłoni.

Nadlatywały kontenery wystrzelone z katapult elektromagnetycznych na powierzchni planety. Już były blisko. Komputer zazna-

czył na zielono te kontenery, które mogę złapać, na żółto natomiast te ryzykowne, bo za szybkie lub za daleko. Trochę się zacząłem denerwować. Kilkunastotonowe kontenery pełne żelaza, drewna czy zboża, poczułem pot na czole, jeżeli ich nie złapię, potrącą mi z wypłaty karę.

Poruszyłem łańcuchami. Łańcuch lewy skoczył na spotkanie kontenera, końcówka wpięła się w łoże kontenera. Nie słyszałem, ale komputer podświetlił biczołańcuch na pomarańczowo pokazując największe naprężenia. Zacząłem ściągać takim delikatnym ruchem nadgarstka, zmieniając wektor prędkości. Drugim biczołańcuchem złapałem jednocześnie kolejny kontener i też go powolutku kierowałem na kurs do doków stacji. Po minucie zwolniłem oba zaczepy, a kontenery, podświetlone przez komputer, zgodnie z prawami starego Newtona, poruszały się dalej kursem już zbieżnym do doków stacji.

Po kilku pierwszych kontenerach, uspokoiłem się i wszedłem w swój operatorski rytm. Łapałem, ściągałem, puszczałem, znajdowałem następny. Nade mną w kabinie włączył się wentylator, ale po chwili przestał działać. Na czole znowu poczułem pot. W kabinie operatora powoli rosła temperatura. Firma znowu nie naprawiła klimatyzacji.

Nagle od strony naplanetarnej nadleciał biczołańcuch i uderzył w mój biczołańcuch. Oba biczołańcuchy splotły się na chwilę. Drugi operator szarpnął i rozerwał połączenie. Zakląłem pod nosem. Prawą ręką włączyłem nadajnik.

– Panie kierowniku, – zacząłem.

– Czego chcesz? Robota jest.

– Widział Pan co się stało? Inny łańcuch zniszczył mój biczołańcuch.

– No i co ja mam Ci teraz zrobić? Pracuj jednym. Nadlatują kontenery. Zacznij robić to, za co Ci płacimy.

Kierownik się rozłączył. Spojrzałem na wyświetlacze. Zniszczony łańcuch był podświetlony na czerwono, jakieś serwomechanizmy nie działały, może nanostal popękała. Zacząłem drugim biczem łapać kontenery. Ale mogłem łapać tylko co drugi. Wyhamowanie i przekierowanie na nowy wektor zajmowało tyle czasu, że niektóre kontenery zaczęły mijać moją pozycję i odchodzić na orbitę planety.

Po kolejnej godzinie praca się skończyła. Wyszedłem z kabiny operatora. Byłem spocony, czułem się śmierdzący. Nie zdążyłem zrobić dwóch kroków po korytarzu, gdy podszedł do mnie dyrektor.

– Co tam się stało? Dlaczego nie przechwyciłeś wszystkich ładunków?

– Ktoś rozwalił mi łańcuch, przecież to zgłaszałem. – odpowiedziałem zirytowany.

– A, no to niedobrze – odpowiedział dyrektor.

– No to kto rozwalił mi łańcuch? Może przejrzymy zapis z kamer?

Koło mnie pojawił się kierownik.

– Nie, to chyba nie jest konieczne. Zaraz wezwę ekipę naprawczą – powiedział kierownik, poprawiając nerwowo krawat.

– No, to macie do mnie pretensje, czy nie?

– Nieważne, idź podpisz papiery i fajrant – szybko powiedział kierownik.

Chciało mi się pić. W pokoju socjalnym, koledzy siedzieli na krzesłach. Grupka tu, grupka tam. Usiadłem przy wolnym stoliku ze butelką napoju izotonicznego. Pierwsze łyki przyniosły ulgę. Kolejna zmiana dobiegła końca.

Patrzyłem na brudny stolik i myślałem, jak spędzę jutrzejszy wolny dzień, gdy do stolika podszedł Gen.

– Mogę się przysiąść? – zapytał Gen. Miałem w ustach duży łyk izotonika, więc tylko machnąłem ręką. – Jak zmiana?

– A, w miarę dobrze, choć znowu klima wysiadła.

– Słyszałem, że ktoś rozbił Ci biczołańcuch.

– No, tak. Mam wrażenie, że to był Pieter, ale nie mam jak przejrzeć logów, a kierownik jakoś nie zainteresowany.

– Ale nie dostaniesz kary za puszczenie kontenerów bokiem?

– Nie, chyba nie.

– Powinieneś to ustalić. Mógłbym zrobić to za Ciebie, jako przedstawiciel związkowy.

– Nie, nie jestem zainteresowany związkiem.

– Nie rozumiem Ciebie Leo – powiedział Gen odchylając się na krześle. – Pochodzisz z planety, z dołu, wyrwałeś się pewnie jakoś z plantacji, zapieprzasz, no, powiedzmy sobie to szczerze, nie jest najlepsza praca dla kogoś takiego jak Ty i kompletnie nie jesteś zainteresowany zmianą warunków swojej pracy.

Słuchałem Gena w milczeniu. Czułem się niezręcznie. Chciałem już sobie pójść, ale nie wiedziałem, nie umiałem przerwać tej rozmowy.

– Ale chciałbyś mieć lepszą pracę? – spytał retorycznie Gen.

Na myśl przyszło mi, że już kiedyś słyszałem taką agitację, a potem, tam na dole, taki agitator miał wypadek, ale nikomu nie wolno nie było się pytać jaki. Może tutaj jest inaczej, pomyślałem, choć pewnie nie.

– Co wy, chcecie zrobić strajk, walczyć z dyrektorem?

– Może tak, może nie? Pytanie raczej brzmi, czy jesteś z nami?

– Przecież to się nie uda, Wieniawa zrobi lokaut i wyślą was na dół, na farmy ręcznie zbierać bawełnę, bez szans.

– I co dyrektor zatrzyma towarów? Kontrakty z Ziemią zostaną zawieszone? On nas potrzebuje.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że na każde miejsce to pewnie na dole są dziesiątki chętnych. Wiesz, żeby wyrwać się z plantacji . . .

– Naprawdę tak uważasz, że każdy chciałby tutaj pracować, że jesteśmy tak łatwo zastępowalni? – Gen patrzył na mnie uważnie.

Po chwili milczenia, mruknął coś na pożegnanie, wstał i poszedł do innej grupki kolegów.

Kilka tygodni później, siedziałem w kawiarni sieciowej Stacji. Dookoła mnie stały oddzielone ściankami boksy. W każdym z nich, przy komputerze siedziała jedna, a czasem dwie osób, i grała w gry.

Natomiast ja, chyba jako jedyny, na ekranie monitora, w wysokiej rozdzielczości oglądałem obrazy malarza z Ziemi, Kandinskiego. Zwykle tak spędzałem popołudnia, o ile dopchałem się do komputera. Czasem chciałem porobić coś innego, wyjść na „miasto", pośmiać się, ale jakoś tak wychodziło.

Alternatywą było siedzenie w kajucie i patrzenie na ten sam układ maźnięć farby, czekając na kolejną zmianę. Po jakimś czasie nawet książki przestawały pomagać w nudzie.

Nagle w świetlicy włączyło się czerwone światło. W głośnikach umieszczonych nad wejściem zabrzmiał głos:

– Uwaga! Tu dowódca stacji, ogłaszam alarm dla stacji Nowe Plymouth. Powtarzam, ogłaszam alarm dla stacji Nowe Plymouth. To nie są ćwiczenia!

Rozejrzałem się po sali. Gracze rozglądali się wzdłuż przejść, w końcu zauważali, że gry zostały zawieszone i ruszali z miejsc. Bibliotekarka, El, już stała w drzwiach i przyjmowała karty dostępowe. Czyli to jednak nie żart, pomyślałem. Westchnąłem, wyjąłem

kartę z komputera i poszedłem do wyjścia. Przy wyjściu podając kartę, popatrzyłem w oczy El, były strasznie błękitne.

El delikatnie uśmiechnęła się lub skrzywiła się, nie potrafiłem tego określić.

W korytarzu przed kabinami operatorów prawie wszyscy już byli. Stali w niewielkich grupkach, wymieniając szeptem uwagi. Wyszedł do nas kierownik, jak zawsze uśmiechnięty, jak zawsze w błękitnej koszuli.

– Słuchajcie! Nawigacja zauważyła wyjście frachtowca z tunelu Einsteina-Rosena. Nie mamy z nim komunikacji, to niezaplanowany transport. W tym miesiącu nikt nie miał przylatywać. – Kierownik rozejrzał się po operatorach. – Dowództwo podejrzewa, że jest to atak nieznanych, ale wrogich nam sił. Wsiadajcie do kabin, znacie swoje zadania, blokada doków i zapobieganie abordażu.

Rozejrzałem się po kolegach. Zanim ktokolwiek zdążył wyrazić wątpliwości, że na pewno to wrogie siły, już niektórzy ruszyli do kabin i pociągnęli innych. Ruszyłem z innymi. Idąc, pomyślałem, że to dziwne, dlaczego ktoś miałby nas atakować?

Po pierwszych minutach podniecenia, w ciszy kabiny uspokoiłem się. Zacząłem się zastanawiać, ile czasu tu spędzimy. Jeżeli wyszli z tunelu z rozsądną prędkością to kilka godzin.

Godziny mijały. Zżymałem się na kierownika, że kazał nam wsiąść do kabin, a przecież można było łatwo wyliczyć, za ile czasu biczołańcuchy mogą być potrzebne. Oczywiście miałem nadzieję, że nie dojdzie do ataku.

Nowe Plymouth miało cały harmonogram startów i przejść, bo wysyłało w tunele Einsteina-Rosena, pod odpowiednim kątem, ładunki towarów, stali, żywności, półfabrykatów. Pod odpowiednim kątem, ponieważ wormhole były bardzo czułe na warunki wejściowe. Niewielka zmiana mogła spowodować, że ładunek zamiast na or-

bicie Jowisza w Układzie Słonecznym znajdzie się na stycznej do Marsa.

Gdy już prawie zasypiałem z nudów, gorąca i znużenia, alarm został odwołany. Gdy wyszedłem spocony do koridora, razem z innymi operatorami zobaczyliśmy kierownika.

– To statek Towarzystwa Solarnego. – powiedział kierownik.

Zacząłem wiwatować razem z kolegami. Niektórzy z ożywieniem zaczęli się poklepywać się po plecach. Stojący obok kolega z szerokim uśmiechem na twarzy powiedział do mnie.

– Leo, super, ale dawno u nas nie byli. Będzie się działo.

– Prawda, pomyśl tylko, Towarzystwo Solarne, najnowsze dzieła kina, sztuki, nauki, a może nawet filozofii.

– Albo nowe wirtuale, nowe narkotyki, nowe gry, ale wiesz, Leo, co kto lubi? Co kto lubi?

Pokiwałem głową z szerokim uśmiechem. Aż się zachciało znowu żyć. Zmęczenie minęło. Wizyty członków Towarzystwa Solarnego zawsze były ciekawe.

Ach Towarzystwo Solarne, pomyślałem, najfajniejsza gildia naukowców, artystów i kupców. Choć towary Towarzystwa były zawsze drogie, to zawsze, ale to zawsze były to cudowne rzeczy, które można było łatwo zmultiplikować i podzielić się z kompanami.

Obserwowałem podejście statku do stacji na wielkich ekranach. Razem ze mną stało chyba z pół stacji.

Statek Towarzystwa Solarnego wyglądał jak bardzo szeroki pierścień, ale z jednej strony przecięty. W pustej przestrzeni pomiędzy końcami pierścienia podobno umieszczony był napęd. Teraz statek był zwrócony tą pustą przestrzenią w kierunku stacji, gdy dopasowywał swój wektor do stacji.

Cieszyłem się. Najpierw oficjalne przywitanie, a potem wielka impreza na koszt stacji. Wszyscy byli zaproszeni. Darmowe jedze-

nie i różne napitki. Nawet z pracy zwalniali na ten dzień. No, normalnie święto.

Zwykłe przyjęcia dla świętowania rocznicy urodzin odbywały się zwykle w aulach, gdzie odbywały się także zebrania komitetów czy szkolenia. Ale na potrzeby przybycia statku Towarzystwa dostosowano jeden z doków. Usunięto niepotrzebny sprzęt i zalegające towary. Podłoga została wyczyszczona, a dotychczas stalowe, szare ściany oświetlono zmieniającymi się kolorami świateł.

Nadeszła w końcu godzina przyjęcia. Przebrany w czysty kombinezon, stałem razem z innymi w tłumie. Niedaleko ustawiły się władze Stacji. Pomiędzy mieszkańcami Stacji a dostojnikami z góry zauważyłem przerwę na szerokość dwóch, może trzech metrów. Wraz z władzami Stacji stali właściciele firm działających na stacji, w tym mój dyrektor, Jan hrabia Wieniawa.

Wreszcie zobaczyłem gości. Zaczęliśmy spontanicznie wiwatować na cześć Towarzystwa Solarnego. Przedstawiciele byli zaskoczeni, uśmiechali się do nas. Niestety po kilku wiwatach, władze zaczęły przemowy. Powitania trwały jakoś krótko. Dowódca Stacji mówił tylko o obopólnych korzyściach, ale gdy Kierownik wyprawy zaczął mówić, nagle zagłuszyła go niewielka orkiestra stacji, która zaczęła grać suitę zatytułowaną „Ze Starej Ziemi". Za krótko, pomyślałem, znacznie za krótko. Przecież zawsze te przemowy, wzajemne umizgiwania trwały tak długo.

Szczęśliwie udało mi się dostać przydziałowy kubek wina i pajdę chleba. Stanąłem przy ścianie i zacząłem się rozglądać się po sali. Orkiestra skończyła grać suitę. Trzech muzyków zaczęło grać wesołego giga. Na środku sali młodsze pary zaczęły się gibać w rytmie muzyki.

Nie czułem się zbyt dobrze na takich wydarzeniach. Nie znałem zbyt wielu osób, nie miałem jakiegoś wielkiego doświadczenia,

choć z drugiej strony zwykle byłem tylko widzem. Czasem chciałem podejść do kogoś i pogadać, ale brakowało mi tej pewności siebie, a może doświadczenia.

Stałem tak rozmyślając i popijałem wino. Powoli zaczynałem się nudzić. Zacząłem myśleć o tym, że w świetlicy są teraz wolne komputery. Wino mi nie smakowało, było jakieś wodniste. W jaki sposób wyjść niepostrzeżenie z przyjęcia, pomyślałem. Spojrzałem w kierunku wyjścia, rozglądając, kto mnie zauważy.

Koło mnie, teraz zauważyłem, stał jakiś mężczyzna, gładko ogolony w błękitnym surducie, ciemne włosy. Też rozglądał się z pierwszymi oznakami nudy na twarzy. Zobaczył, że go zauważyłem.

– Słabe to wino – powiedział mężczyzna.

– Bywało gorzej – odparłem ostrożnie.

– Może i tak, a często ktoś do was przylatuje? – znienacka zapytał mężczyzna.

Zakłopotałem się, pomyślałem, może to jakiś prowokator szlachty.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się, jestem Berg, z Towarzystwa Solarnego – powiedział mężczyzna, widocznie widząc moje zakłopotanie.

– Leo Dunahoe, miło mi. – powiedziałem – Proszę mi wybaczyć śmiałość, – Berg machnął kieliszkiem przyzwalająco – ale myślałem, że delegacja jest w strefie specjalnej, tam, gdzie lepsze wino?

– Wiesz, Leo, mogę Ci tak mówić? – kiwnąłem głową, zaskoczony bezpośredniością Berg – Nie zawsze smakuje mi wino w tamtym towarzystwie, wszyscy ci hrabiowie i margrabiowie, cała ta szlachta, i ta mieszanka płaszczenia się przed Towarzystwem i wyniosłości, bo są taką wspaniałą szlachtą.

Pokiwałem bardziej z grzeczności.

– Ale nie chcę Ci psuć wieczoru – powiedział po chwili Alek – przepraszam.

– Ależ nie ma sprawy, każdy lubi co innego.

Berg uśmiechnął się delikatnie i podniósł kubek w moim kierunku.

– Prosit!

– Prosit! – odparłem z uśmiechem.

~

Ze dwa tygodnie później przed zmianą podszedł do mnie kierownik.

– Leo, słuchaj. Nie będzie dzisiaj Pietra. Bierzesz jego kontenery.

– Ale jak to? Przecież idą innym kursem.

– Spokojnie, powiadomiłem na wyrzutni, pójdą trochę rzadziej, ale na Ciebie.

– Ale dlaczego? Co się z nim stało?

– Został zwolniony.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Kierownik poczekał chwilę, a potem się odwrócił.

Siedziałem po ciężkiej zmianie w kawiarni i próbowałem wypić sok. Byłem tak zmęczony, że i tak bym nie zasnął. Przypominałbym sobie kolejne fale kontenerów, które próbowałem pochwycić i znowu i znowu od początku. I każdą porażkę w przechwyceniu podwójnego obciążenia.

Zobaczyłem, że do środka zagląda Gen, który mnie zobaczył. Gen ruszył w moim kierunku. Usiadł bez pytania.

– Słyszałeś? – zapytał się Gen.

– O czym? O wywaleniu Pietra? Tak, bardzo dobrze mu to zrobi.

– Nie o tym mówię. – odpowiedział Gen z niecierpliwością. – Nasz Dyrektor, trzeci syn hrabiego Wieniawy, załatwia nam wszystkim wyrzucenie z pracy.

– E tam, co on może? Nie zna się na robocie, bo pracę mu za-

łatwił ojciec. Dobrze, że ta robota sama się kręci, bo inaczej miałby kłopoty – powiedziałem z niechęcią do Gena.

– Obawiam się, że teraz będzie gorzej. Słyszałeś o nowych programach Towarzystwa Solarnego?

– Nie, znaczy coś słyszałem, ale bez szczegółów. Jakieś masowe dane i algorytmy, prawda?

– A, to tylko przykrywka, oni przywieźli i sprzedają programy, które nas zastąpią.

Uśmiechnąłem się.

– Nie mogą nas zastąpić, komputery nie poradzą sobie z łapaniem kontenerów, to powszechnie znana wiedza.

– Nasze komputery tak, nasze programy tak – odparł Gen – ale Towarzystwo wymyśliło nowe systemy. Nie tylko zbierają dane na masowym poziomie, ale także masowo je przetwarzają. Podobno na innych stacjach ich oprogramowanie umożliwia latanie promami bez pilotów. Potrafisz sobie to wyobrazić?

– Szczerze, to nie – odparłem – to brzmi jak jakaś magia.

– A teraz dyrektor chce to wprowadzić do nas. Zresztą już podobno wprowadził, dlatego niektórzy wylecieli z pracy?

– To źle, nie po to wyrwałem się z dołu, żeby teraz tam wracać.

– A co chcesz zrobić? Stać z boku? – powiedział Gen opierając się o krzesło i patrząc na mnie z ciekawością.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mam nadzieję, że to nas nie dotknie.

Rozstałem się z Genem w niewyraźnych humorach.

Parę tygodni później zostałem razem z całą załogą zwolniony.

To nie były dobre dni, ani dla mnie, ani dla innych. Niektórzy z nas poszli do sądu o zaległe wynagrodzenie, nadgodziny i odszkodowanie, ale sądy potraktowały te sprawy jako nieważne i jeszcze obciążyły ich kosztami.

Jak zawsze sądy stanęły po stronie szlachty. Dobrze, że nie nakazały nas wyeksmitować na dół.

Niemniej po kilku dniach wolnego, zrozumiałem, że za chwilę wyrzucę mnie na dół.

Na tej stacji, kto nie pracuje, ten nie ginie, ale po prostu wraca na dół, na planetę. Według szlachty, nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad, darmowa ekstradycja na powierzchnię.

Zatem kto wracał na dół, musiał spłacić dług poprzez pracę na plantacjach, w słońcu, na akord.

To właściwie nigdy bym nie wyszedł z długów.

Jednak cokolwiek wiedziałem na temat komputerów i nająłem się do pracy w oddziale Towarzystwa Solarnego.

Pierwsze zadania były proste. Skonfiguruj serię czujników, dajmy na to, zużycia tlenu, załóż czujniki, dołącz do materny-wspólnej sieci urządzeń, sprawdź czy działają, powtórz. Każdy, jak małpa, mógł to robić.

Trudność pracy powoli wzrastała, ale ciągle nadążałem. W końcu nie tylko zbierałem dane, ale miałem dostęp do stacji analitycznych. Praca zaczęła być stresująca, dużo pracy w ciągu zmiany.

Więcej czasu zacząłem przesiadywać w barach stacji, po prostu starając się zrelaksować. Czasem żałowałem, że nie chodzę do świetlicy zobaczyć El. Gdzieś czułem, że nie mam u niej szans.

Siedziałem właśnie przy stoliku w barze, próbowałem się nad swoim życiem zastanowić. Po co pracuję? Co ja z tego mam? Dlaczego nie może być tak jak zawsze, tylko wszystko musi się w końcu zmieniać? Wypity cydr nie pomagał zebrać myśli.

Wokół mnie siedziały różne osoby, ale raczej nie było tutaj dyrektorów czy kierowników. Nie te smaki, albo nie te towarzystwo. Rozglądając zauważyłem też znajomych z pracy, siedzieli w grupce

i się śmiali. To chyba byli analitycy. Uśmiechnąłem się do jednego z nich, tego który się rozglądał po sali, podniosłem kieliszek w geście pozdrowienia. Uśmiechnął się do mnie i również podniósł swój kufel. Przypominał mi Berga.

Nieco później, gdy siedziałem zatopiony w czarnych depresyjnych myślach, ktoś mnie poklepał po ramieniu. Naprzeciw mnie usiadł kolega, którego pozdrawiałem.

– My chyba pracujemy w jednej firmie – powiedział.

– Tak, też odniosłem takie wrażenie, ja w operacjach, a Ty?

– Konsulting – po chwili dodał – Ale my się poznaliśmy na spotkaniu powitalnym.

– Racja, racja.

– I jak jest w operacjach, Leo? – po chwili zapytał się Berg.

– Ciężko, dużo zadań, wszyscy na Stacji chcą korzystać z tej technologii.

– U nas też, ciągle nowe zestawy danych, które musimy przetworzyć, i najlepiej w kolorowy raport i od ręki. – Berg wziął łyka piwa – Wiesz, czasem sobie myślę, że pracuję w jednej wielkiej fabryce, tylko nie przy tokarce, ale przy komputerze.

– Ot, Towarzystwo Solarne, ostatnim razem też tak było – zacząłem wspominać – tylko więcej było kultury, filmów, skeczy, seriali, obrazów. Też wszyscy je chcieli mieć jak najszybciej, żeby pokazać się, że są kosmopolitami, że są tacy wspaniali. – Wziąłem łyk cydru. – No nie wiem, ja zobaczyłem kulturę chyba na końcu. Tam, gdzie byłem skierowany do pracy, na dole, to nam nie pokazywano filmów. Kino to raz w tygodniu było .

– Na dole? – zapytał się Berg.

– No, na planecie – wyjaśniłem – pracowałem na plantacji trzciny cukrowej, ale potem jak byłem pełnoletni, to dzięki wynikom wysłali mnie na kurs, a potem posłali mnie na stację.

– A, no tak zapomniałem, że wy jesteście jeszcze społeczeństwem feudalnym.

– No bo jest najbardziej stabilne. Każdy wie, gdzie jego miejsce.

– Tak mówią, tak mówią – powiedział Berg z przekąsem. – Chciałem Cię o coś zapytać, ale nie wiem, czy mogę, czy Cię zwyczajnie nie obrażę. Chodzi mi o społeczeństwo feudalne. – dodał po chwili i dość dużym łyku piwa.

Wzbudziło to moje podejrzenia. Ja lekko pijany, tutaj ktoś, bądź co bądź, obcy.

– Co to za pytanie?

– Czy jesteś zadowolony ze stanu rzeczy, z tego, jak się układają tutaj sprawy?

– Tutaj, znaczy na planecie, czy na stacji?

– No tak szeroko, w tym układzie planetarnym.

Zasępiłem się. Niby miałem dobrze, ale ilu miało gorzej. Niby ich życie, ich sprawa, ale co jak mi się powinie noga i wrócę na dół, to przecież prosto na plantację, albo do kopalni, albo do huty. Nie wiedziałem, gdzie teraz na planecie najgorzej.

– Nie, nie jestem zadowolony, kilka rzeczy mi się nie podoba.

– Przykładowo . . . – zagaił Berg.

Coś we mnie puściło.

– Przykładowo, to, że trzeci syn pana hrabiego więcej znaczy niż ja, gdzie ojciec był robotnikiem, a matka nie mogąc pracować w polu, to musiała być nauczycielką. A ja, mnie się wydaje, że ciężej pracuje, niż taki paniczyk. Myślę, że nie podoba mi się, że wysłali mnie tu jak jakieś kartofle. A na dole bieda. Niektórzy mówią, że policja jeździ i strzela do ludzi na ulicach. To mi się też nie podoba.

– Hmm – zadumał się Berg – tak jak podejrzewałem, nie jesteś zwykłym robotnikiem, obserwujesz, jesteś bystry.

– Ale po co to kadzenie, po co te pytania? – Uniosłem się.

– Spokojnie – powiedział Berg – jest na Ziemi, starej Ziemi, związek Robotników Informacji WWW. Związek ten nie zgadza się na zastany świat i jego niesprawiedliwość, ma pewne cele. Chcemy edukować się, zorganizować się i walczyć o lepsze jutro, bo żyjemy w przededniu lepszego świata... że tak powiem, w pierwszych dniach lepszego narodu ...

Perorę Berga przerwał silny hałas dobiegający z korytarza. Po chwili drzwi do baru trzasnęły mocno i do środka wdarł się tłum ludzi, ubranych w fartuchy Towarzystwa Solarnego.

– No coś się stało – powiedział Berg. – Przepraszam na chwilę.

Berg wstał od stołu i podszedł do grupki. Pomyślałem, że też podejdę, ale miałem opory, czułem się niezręcznie, nie chciałem, żeby mnie potraktowali z góry. Po chwili Berg usiadł z uśmiechem.

– Dostaliśmy wiadomość z planety, że nasza delegacja odniosła wielki sukces. Arystokraci, rządzący, ministerstwa, praktycznie wszyscy kupili lub zamówili u nas systemy, które tutaj wdrażamy.

– To wspaniała wiadomość – powiedziałem uśmiechnięty. Również mi udzieliła się ta radość.

– Tak, dla Towarzystwa Solarnego i dla Związku Informatyków. Ktoś kiedyś powiedział, że władcy sami sobie kupują sznur na których zawisną.

Berg uśmiechnął się szeroko i tego wieczora już nie rozmawialiśmy na takie tematy.

Jakiś czas potem odwiedziłem swoją siostrę Joan. Sprowadziła się kilka lat temu wraz z mężem Karlem na stację. Karl pracował w jakiejś małej fabryczce, a ona pracowała w administracji stacji. Mieszkali w dość dobrej części stacji, zawsze był prąd i ostawały

się lampy na korytarzach. Rozmowa szybko nam zeszła na Towarzystwo Solarne, było to w końcu duże dla nas wydarzenie.

– Dobrze, że dla nich pracujesz, brat – powiedziała Joan.

– Martwię się, żeby tylko całe te masowe dane nie skończyły się jakoś nieprzyjemnie.

– Jak to?

– No, mnie zwolnili z pracy, bo algorytmy masowych danych były szybsze niż ja. Słyszałem, że tak się dzieje w innych miejscach na stacji. Zaraz zaczną nas wyrzucać na dół.

Karl podniósł wzrok znad czytnika i powiedział:

– A wiesz, że ich algorytmy pomagają mi w pracy?

– Przecież produkujecie jakieś dingsy, nie ma pojęcia co, a te algorytmy muszą mieć dużo czujników i danych, żeby zaczęły działać – powiedziałem zdziwiony

– A nieprawda, one też mogą pomóc, jak już masz bazę danych? Na ten przykład, mieliśmy dane z produkcji, ile z czego zrobiliśmy, dane ze sprzedaży, koszty i zyski za ostatnie, nie wiem, siedem lat. Dyrektor, hrabia Branicki, zamówił usługę i daliśmy im te dane. Sam im przekazywałem kości pamięci. A kilka dni później przysłali Dyrektorowi raport. Potem inaczej zorganizowaliśmy produkcję, tych, jak ty to nazwałeś, dyngsów, choć my techniczni nazywamy je stalowymi wydrukami CNC, i teraz robimy ich o piętnaście procent więcej z tego samego materiału. Kolega majster jest tak zafascynowany, bo te zmiany wcale nie były takie duże. Tam przesunęli robotnika w inne miejsce, gdzie indziej dali inne wzory do maszyn, i już. Piętnaście procent.

– Karl, przestań mi zamęczać brata, nie gadaj o swojej wspaniałej pracy – z uśmiechem Joan lekko uderzyła męża.

– Tak tylko mówię – odparł Karl.

– No to pozytywny przykład. – powiedziałem z uśmiechem. –

Ale słyszałem, ale nie pytajcie skąd, że na dole wykorzystują, żeby przykręcać śrubę, w sensie jak ktoś nawet się nie przeciwstawia, ale sprawia takie jakby wrażenie oporu, działania poza systemem, to go zamykają bez sądu, bez śledztwa, tylko w jakichś specjalnych więzieniach.

– No, widocznie sobie zasłużył na takie traktowanie – powiedział Karl. – Nie mówię złego słowa na szlachtę, i patrz, żyje mi się dobrze.

– Karl, Ty jak coś powiesz, to nie wiem, co ja w Tobie widziałam, jak za Ciebie wychodziłam – już poważnie powiedziała Joan.

– A co ja zrobiłem? A nie jest tak jak mówię.

– Nie możesz patrzeć tylko na swoją sytuację, żaden człowiek nie jest samotną wyspą, jak kogoś z nas źle potraktują, to zaraz i nam mogą przykręcić śrubę, prawda Leo?

Przytaknąłem.

– Nie pytaj się komu bije dzwon, bije on tobie – zacytowałem z pamięci wpis na jakimś forum.

Oboje, Karl i Joan spojrzeli się na mnie, a potem na siebie.

– A co to jest dzwon? – zapytał się Karl.

Też nie wiedziałem, roześmieliśmy się głośno i już nie wracaliśmy do tej sprawy. Wieczór minął nam bardzo przyjemnie.

Późnym wieczorem, po miłym spotkaniu z Joan, nadal nie lubię jej przemądrzałego męża, na przystanku zobaczyłem napis na ścianie.

Napis był nieczytelny, ktoś się śpieszył, albo nie użył szablonu i pisał ręcznie. Udało mi się odszyfrować jedynie słowo "wolność" i "śmierć". Westchnąłem. Zawsze będą tacy, co głupio niszczą wspólną przestrzeń.

Odwróciłem się od napisu i zobaczyłem dwóch policjantów.

– Nazwisko? – warknął jeden. – Czemu tego nie zgłaszacie? – warknął drugi.

Próbowałem dopytać się o co chodzi, dlaczego mnie się pytają o to skąd idę, dokąd idę, jak się nazywam gdzie pracuję. Na moje pytania, czy jestem zatrzymany, odpowiadali, że to jest interwencja, a nie zatrzymanie i nie, nie mogę odejść.

Strasznie byłem zdenerwowany, a potem przypomniałem sobie dawną broszurkę, pamflet właściwie, który czytałem na dole, w tajemnicy.

„Nie gadaj z władzą" – do tego można skrócić jego przesłanie. Zacząłem odpowiadać skrótowo na pytania, nie pamiętać dokładnie, podawać minimum informacji i pogodziłem się z nieuchronnym.

– Jebnij go pałą i puść – powiedział jeden policjant do drugiego.

Chwilę później na plecach poczułem mocne uderzenie, potem pchnięcie. Zatoczyłem się i przełykając upokorzenie odszedłem.

Praca pracą, ale czułem, że coś się dzieje na stacji i w Towarzystwie Solarnym. To była taka delikatna zmiana warunków, jakby wentylator na korytarz znowu się wyłączył. Nie czujesz z początku braku powietrza, ale jakimś wewnętrznym słuchem słyszysz brak delikatnego brzęczenia tego wentylatora.

Pewnego dnia siedziałem nad kawą w pokoju socjalnym. Za mną usiadły dwie analityczki, jedną z nich znałem jako Iolę, a druga chyba była z innego projektu. Zaczęły rozmawiać. Mówiły do siebie, ale słyszałem je bardzo dobrze, choć nie chciałem podsłuchiwać.

– Ale słyszałaś o tym, jak się tutaj planuje naszą pracę.

– Normalnie, każdego dnia kawałek zrobić i kawałek pracy oddać.

– Nie, chodzi mi o to, że coraz więcej czasu poświęcamy na zadania, które nie są związane ze zleceniem.

– Dostajemy takie zadania w systemie i na nie reagujemy, nieprawdaż?

– Ale nie widzisz dużego obrazu ? – zapytała się Iola ze zdziwieniem.

– Widzisz, ja jestem stąd, ze stacji, nie interesują mnie problemy, mam dzieci, męża, chcę się nimi zajmować.

– No, rozumiem. Tylko zadania, które wykonujemy, to tak jakbyśmy chcieli wesprzeć jakiś ruch, jakieś przedsięwzięcie.

– Nie rozumiem.

– No, trochę tak. Wczoraj musiałam przerwać pracę nad zleceniem dla jednej z fabryk, bo weszło zgłoszenie o wyższym priorytecie. Masowe dane, które były dziwne, nie było dat ani nic takiego, ale układały się w bilans ekonomiczny, wiesz, w sumie niektóre zmienne sumowały się do zera, a obserwacje miały taki przebieg roczny.

– Wiesz, może to Ty? Może za dużo pracujesz? Bo to co mówisz, wcale nie wskazuje na priorytet.

– Może rzeczywiście. – Iola brzmiała niezdecydowanie.

Po chwili dziewczyny zaczęły dyskutować o modelu wprowadzanym w jakimś projekcie. Skończyłem kawę i wróciłem do pracy, ale wracałem myślami do tego, co jest celem Towarzystwa Solarnego.

Dlatego zostałem zaskoczony, gdy Berg mi wyjaśnił. Siedzieliśmy właśnie nad ciastkami w jednej z większych cukierni na Stacji. Berg jadł sernik, ja jadłem szarlotkę. Berg siedział przodem do drzwi wejściowych, w takim boksie. Rozmawialiśmy na temat ostatnich doniesień z planety o zwiększeniu plonów i przyśpieszeniu eksportu do Układu Słonecznego.

– I tak właśnie działają te algorytmy – skończył wypowiedź Berg.

– Ale nie rozumiem, co tutaj robi Związek Informatyków. W tym układzie, nie ma miejsca dla związków zawodowych. Nawet, zdaje się, w Towarzystwie Solarnym.

– Tak, na tym świecie wszelkie formy organizacji są skazane na porażkę. Z drugiej strony, samoorganizacja, samopomoc, jest podstawą dla wszelkich grup społecznych. Gdzie bylibyśmy, gdybyśmy nie współpracowali jako gatunek?

– Wiesz, ja to rozumiem, ale z drugiej strony nie ma sposobu odebrać władzy szlachcie.

– Dlatego też, ale mówię Ci to w zaufaniu, próbujemy wykonać pewne zmiany niejako poza elitami – powiedział przyciszonym głosem Berg.

– O, to ja nie wiem, czy chcę wiedzieć, nie chcę spędzić życia w więzieniu, biedne może mam życie, ale na wolności – powiedziałem szybko.

– No, niestety, ale wydaje mi się, że to jest ten moment, w którym musisz się zdecydować, jakie są Twoje marzenia.

– Jak to?

– Do dzisiaj wspierałeś nasze plany, ale pośrednio, bez zaangażowania.

Patrzyłem na Berga zmieszany.

– Tak, nie patrz się tak, w przeciwieństwie do szlachty, my interesujemy się każdym z nas, teraz i w przyszłości. Dlatego, szybko, teraz, powiedz, o czym marzysz?

– O szczęściu dla wszystkich! – powiedziałem odruchowo.

Hmm, żyjesz, pracujesz, ale nieprzemyślanym życiem żyć nie warto. – powiedział poważnie Berg. – Potrzebujemy Cię. Dzięki działaniu na rzecz przyszłości, działanie na rzecz wolności, równo-

ści, braterstwa, w kierunku postępu staniesz się prawdziwym człowiekiem, kolejnym w szeregu takich ludzi jak Marks, Luksemburg czy Bakunin.

– Nie znam ich – powiedziałem ostrożnie.

Berg się uśmiechnął.

– Wstąp w nasze szeregi, a na pewno ich poznasz.

Siedzieliśmy w milczeniu. Popijałem kawę i zastanawiałem się. Nie podobało mi się to moje życie, niby sztuka, książki, przyjaciele, ale takie życie wiedli wszyscy. A potem umieraliśmy i nic nie pozostawało po nas. Po szlachcie to jakiś pomnik, albo budynek nazwali, a my, robotnicy, znikaliśmy w kolejnych pokoleniach w ciemnościach przeszłości. Odetchnąłem głęboko.

– Wchodzę w to. Za przyszłość! – podniosłem kubek kawy, Berg z uśmiechem przyłączył się do toastu.

I tak zaczęła się moja przygoda ze Związkiem.

Wydawało mi się, że teraz będę niczym rewolucjonista w powieściach, działał, walczył, bronił, bił się z władzą.

Ale początkowo robiłem to samo co wcześniej

Jakiś czas później spędziłem kilka godzin w czytelni zamienionej w salę szkoleniową. Dostałem dużo materiałów do czytania. Mój tablet został wymieniony na inny model. Część tabletu była jawna, a część widoczna, jeżeli w trakcie włączania przycisnąłem odpowiednio przycisk głośności i wpisałem specjalne hasło w otwartym oknie.

Po jakimś czasie idąc do pracy odbierałem paczkę z jednej kajuty i zanosiłem ją po drodze do innej kajuty. Czasem spotykałem się w barze, żeby odebrać przenośne dyski, które zanosiłem innego dnia do innego miejsca.

Ta działalność nie była podniecająca, ciekawa czy wdzięczna.

Do tego normalnie pracowałem. Koledzy ostrzegli mnie, że właśnie teraz muszę pracować i zachowywać się nieskazitelnie w pracy.

Kilka razy dostarczałem pliki z książkami przygotowanymi przez Robotników Informacji. Parę razy pisałem na ścianach hasła Robotników, nawet nie po to, żeby zachęcić kogokolwiek, ale żeby pokazać, że działamy.

Czasem policja się nami strasznie interesowała, zaczepiała, próbowała prowokować. Zawsze udawało mi się, chyba fartem, uciec z pułapki, mieć alibi, nie wzbudzić podejrzeń.

Niektórym się nie udało. Nie odprowadzaliśmy ich do promu w ostatniej drodze na dół, żeby nie zostać rozpoznanym. Ale zawsze staraliśmy posłać im anonimowo jakieś pieniądze na start.

Kilka tygodni byłem później przekazywałem nośnik pamięci z książkami, gdy wtem rozdzwoniły się notatniki.

Kolejne segmenty stacji były zamykane w związku z podejrzeniem dekompresji. Zanim zdążyłem odebrać inne wiadomości, sieć stacji przestała działać. Wyszedłem na korytarz, ale naokoło mnie wiele osób zadawało sobie i innym takie samo pytania, o to co się stało. Zobaczyłem znajomą z Robotników, zamachałem do niej frenetycznie. Ina podeszła do mnie.

– To nie wiesz – zapytała się Ina.

– Nie, sieć przestała działać. – odpowiedziałem.

– A to pamiętasz? Ewolucja, kolaps, magneto-hydrodynamika, feminizm? – Ina patrzyła mi w oczy, ale ukosem zauważyłem, że włożyła dłoń do kieszeni. I wtedy sobie uświadomiłem. Słowa hasła.

– Rewolucja – wyszeptałem do Iny.

– Tak, wiesz co masz robić?

– Chyba tak – powiedziałem drżącym głosem.

– Spokojnie, to dla mnie też jest pierwsza rewolucja – powiedziała Ina, ale jej oczy błyszczały radośnie. – Przypomnij sobie, kto jest w Twojej grupie, idź na miejsce spotkania, hasło odblokuje szczegóły na Twoim notatniku. No powodzenia!

Po chwili nie widziałem już Iny. W czasie rozmowy na korytarzach wyszło dużo osób, jakby wszyscy wyszli z kajut na raz. Ruszyłem, ale tłum nie pozwalał mi poruszać się zbyt szybko. Stanąłem we wnęce i przeładowałem notatnik.

Gdy notatnik startował nowy system operacyjny, zobaczyłem, że niektórzy z zebranych również robią coś przy swoich notatnikach. Inni natomiast patrzyli na notatnik i czytali jakieś zawiadomienie świecące im w twarz błękitem.

Notatnik przeładował się. Przeczytałem pierwsze komunikaty. Otrzymałem pierwsze zadania. „Zorganizować blokadę korytarzy w swoim sektorze". Trochę to odbiegało od planów, ale przecież planowanie nie zastąpi działania, tylko oswaja strach. Przełknąłem ślinę.

– Obywatele! – próbowałem krzyknąć, ale głos z nerwów uwiązł mi w gardle, raczej wychrypiałem. Odkaszlnąłem i usłyszałem.

– Obywatele! – Jasnowłosa, szczupła kobieta kilkanaście metrów dalej zwróciła się do wszystkich – Nadszedł czas zrzucenia jarzma szlachty! Nadszedł czas rewolucji! Do nas należy przyszłość!

Ludzie spoglądali się po sobie, nie do końca nie wiedzieli, co robić. Słuchać się kobiety, udawać, że nic się nie stało. Zobaczyłem, że niektórzy mężczyźni ruszyli do tej kobiety. Nie wyglądali na uczciwie pracujących, raczej otyłych bokserów. Czyżby tajni agenci policji?

Przysunąłem się bliżej. Zauważyłem, że kobieta miała na sobie zwykłą bluzę i spodnie od kombinezonu roboczego. Kobieta otwo-

rzyła usta do następnego wezwania. Jeden z mężczyzn, taki krótko ostrzyżony na jeża, powiedział:

– Zamknij się, dziwko.

Kobieta spojrzała na niego jak na głupiego pieska, delikatnie uśmiechnęła się, tak kącikiem ust, i krzyknęła:

– Obywatele!

W tym momencie jeżyk ruszył do kobiety. Byłem przygotowany, żeby ruszyć na pomoc, ale zanim się ruszyłem, inni wokół jeżyka złapali go za ręce i pchnęli na ziemię. Upadł. Odwrócił się do napastników.

– Jestem przedstawicielem policji – powiedział.

Jeden z tych, co go pchnęli, uderzył go w twarz.

– Zamknij ryja, sługusie szlachty.

Kobieta krzyknęła:

– Obywatele! Do broni! Zablokujmy korytarze, utwórzmy radę tego osiedla i połączmy się z siostrami i braćmi, by razem zrzucić jarzmo, które nam szlachta nałożyła na plecy!

Naokoło niej zbierali się ludzie. Ta akcja policji coś zmieniła. Ludzie z tłumu przestali być pracownikami, biorącymi pracę, stali się działaczami, aktywnymi osobami.

Odwróciłem się od tej kobiety i powiedziałem do najbliższych osób:

– Co mamy do stracenia? Nic. A co możemy zyskać?

– Przyszłość... – Jedna z tych osób odpowiedziała łamiącym się głosem.

– Przyszłość! – powiedział głośniej mężczyzna stojący koło niej.

– Przyszłość!! – krzyknęli wszyscy.

Krzyk ten za chwilę został powtórzony przez innych. Po kilku sekundach, cały korytarz skandował: Przyszłość, Przyszłość.

Poczułem na ramieniu drobną dłoń. Odwróciłem się. Spojrza-

łem w błękitne oczy jasnowłosej kobiety, która przed chwilą zaczęła walkę.

– El – powiedziałem – Ty tutaj?.

– Leo – powiedziała dziewczyna z biblioteki. Zanim straciłem się w jej błękitnych oczach, dodała – wszystko, co stałe …

– … rozpływa się w powietrzu – poprawnie zakończyłem jedno z haseł.

– Musimy zablokować korytarze, zorganizować pomoc i przygotować się na kolejne etapy naszej walki – powiedziała pewnie El.

W tle ludzie, nie nie-ludzie, działacze przestali krzyczeć „Przyszłość, przyszłość". Patrzyli na siebie z nowoodkrytą dumą.

– El, za Tobą. – powiedziałem z uśmiechem. El uśmiechnęła się do mnie i nagle cały ten czas bycia samym, pracy, udręki, stał się nieistotny. El na jednej stopie odwróciła się ode mnie.

– Obywatele! Musimy zablokować korytarze! – zaczęła przemawiać. Dzieliła zadania, mówiła, co kto ma robić.

Kilka godzin później uniemożliwiliśmy przejście policjantom na odsiecz swoim kolegom z doków. Wiedzieliśmy, że rewolucja objęła większość stacji. Silne siły policji były obecne przy kapitanacie, ale policjanci nie byli agresywni, nie chcieli bić się ze swoimi znajomymi i przyjaciółmi.

Zablokowaliśmy zatem każde z dojść do sali, a wszyscy poszliśmy na centralę podtrzymania życia. Wtedy padły pierwsze strzały. Szlachta nie chciała oddać kontroli nad systemami podtrzymania życia.

Niestety czasy się zmieniły.

Pierwsze ofiary wzbudziły w nas szał bitewny. Zanim zdążyłem ruszyć, już kolejne osoby, zwykli ludzie szturmowali drzwi, uderzali w nie, podkładali ładunki i uruchamiali je, nie patrząc na swoje bezpieczeństwo.

Kilkanaście minut później zdobyliśmy centralę. Sądziłem, że teraz odpoczniemy, będziemy mogli skonsolidować swoje siły. Niestety, czas naglił. Planeta wysłała w naszym kierunku promy wypełnione wojskiem. Znów jak za dawnych lat usiadłem w kabinie operatora i poruszałem biczami.

Słyszałem wyraźnie w słuchawkach nawoływania, aby promy się wycofały lub chociaż weszły na orbitę. Ale oni nie chcieli odpuścić. Na ekranie widziałem wektor prędkości promów i potencjalną trajektorię. Wskazywała na doki stacji. A łańcuchy były sprawne.

Wtedy i później, często myślałem, czy nie dałoby się przeprowadzić rewolucji bezkrwawo. Bez ofiar, bez cierpienia, z korzyścią dla wszystkich. Przecież o to chodziło z rewolucją, aby nam wszystkim było lepiej. Abyśmy wszyscy mieli fajne i ciekawe życie.

Cztery promy zbliżały się do stacji. Każdy z nich zapewne wiózł kilkunastu żołnierzy z bronią, pancerzami czy granatami. A ja patrzyłem się na zbliżające statki i słuchałem coraz bardziej natarczywych wezwań kontroli stacji do zmiany wektora podejścia. Czy przeżyjemy inwazję, czy spotkam się z El? – tłukło mi się po głowie – czy zepchnę ich łańcuchami?

W końcu byli w moim zasięgu. Delikatnie poruszyłem biczem, aby dotknąć i zepchnąć prom z podejścia. Niewielki wpływ spowodowałby konieczność rezygnacji z dokowania. Ale pilot promu uruchomił chemiczne silniki i zaczął przeciskać się przez biczołańcuch. Zobaczyłem, że na biczu pojawiają się naprężenia, prawie zaczyna pękać. Oparłem drugi bicz, żeby zapewnić podparcie i nie pozwolić na uszkodzenie.

To było za dużo dla powłoki. Oba bicze zanurzyły się w zewnętrznym poszyciu promu. Z promu zaczęły wyciekać gazy, które nadały przyśpieszenie boczne statkowi. Prom zaczął się obracać

wokół własnej osi. Zanim zdążyłem wycofać bicze, rozpruły ćwierć promu.

Wtedy wypuszczone gazy dotarły do płomieni silników rakietowych. Jasnobłękitny płomień poleciał wzdłuż promu i wniknął do wnętrza przez rozdarte poszycie. Prom oderwał się od biczy, a potem w środku dziury pojawiły się płomienie.

Natychmiast piloci pozostałych promów zmienili kierunek i weszli na orbitę synchroniczną do orbity stacji.

W słuchawkach słyszałem komendę przerwania ognia. Nie wiem, kto krzyczał. Promy krążyły naokoło stacji, ale dla mnie czas się zatrzymał. Nie wiedziałem co się dzieje, chciałem tylko zatrzymać promy, odepchnąć z drogi, nie chciałem nikogo zabijać.

Nagle drzwi kabiny za mną się otworzyły. Stał tam Gen.

– Chodź – powiedział – To nie Twoja wina.

Wstałem, nic nie czułem. Szedłem za Genem, tam było co najmniej dwadzieścia osób, myślałem, nie jestem mordercą, przecież za to mnie zamkną na zawsze.

Wyszliśmy na korytarz. Zobaczyłem tam kilkanaście osób, które stały w milczeniu. Nikt nie patrzył mi w oczy. Drzwi na korytarz się otworzyły. Zobaczyłem El. Podeszła do mnie, popatrzyła mi w oczy i powiedziała:

– To nie Twoja wina, to oni nie odpuścili

Potem poklepała mnie po ramieniu, odwróciła się i odeszła.

Zniszczenie promu ostudziło zapędy arystokratów. Po kilkunastu godzinach, promy skierowały się na lądowiska na planecie. Nie zakończyło to rewolucji. Wręcz przeciwnie, uzbrojeni w algorytmy Towarzystwa Solarnego, w systemie rad zakładowch, pracowaliśmy mniej, ale dostawaliśmy więcej. Planeta nadal miała kontrakty, które miała wypełnić, więc nadal pośredniczyliśmy jako Pierwsza Radziecka Stacja w eksporcie przez tunel Einsteina-Rosena.

Jednak świadomość, że tam na dole, tacy jak my, ludzie pracy cierpią, nie pozwalała nam spokojnie żyć. Pamiętaliśmy historie Annares i Urras.

W końcu podjęliśmy decyzję. Tego pięknego dnia stałem za El, gdy nawiązywała komunikację z Radą Królewską Nowej Brytanii. Razem ze mną stali inni rewolucjoniści.

– To jest nasze ultimatum – powiedziała El. – Albo natychmiast oddacie władzę i wprowadzicie demokrację, albo będziemy was atakować z orbity, aż do rozwiązania tej sprawy.

Na wielkim ekranie komunikatora widać było, że większość szlachciców, wysportowanych, w eleganckich garniturach i fantazyjnych okularach jest po prostu rozbawiona.

El była bardzo spokojna.

– Czasy się zmieniły – powiedziała El

Arystokraci śmieli się już otwarcie.

– To nic nie da – powiedziałem – Tylko gdy lud im krwawe szpony stępi, dzień szczęścia wiecznie będzie trwał.

Towarzysze w sali przytaknęli mi. El rozejrzała się po nas, każdy był bardzo poważny.

– W waszym kierunku lecą cztery niewielkie kamyki, ot, takie ćwiczenie z mechaniki orbitalnej. Może wasi następcy będą rozsądniejsi.

Razem patrzyliśmy ze smutkiem, bez nienawiści, jak szlachta patrzy na nas najpierw z rozbawieniem, potem z niedowierzaniem. Patrzyliśmy, jak wyjmują komunikatory. Patrzyliśmy, jak rozmawiają przez nie, a potem w panice opuszczają salę w najstarszym zamku Nowej Brytanii. Patrzyliśmy też, jak transmisja jest nagle przerwana.

Jak pisali filozofowie, rewolucja nie może się obyć bez wielkich i gwałtownych zniszczeń, rewolucja burzy w sposób zbawczy

i owocny, ponieważ właśnie z ruin i tylko dzięki nim poczynają się i rodzą nowe światy.

Seria „Czarna Flaga”

W serii *Czarna Flaga* dotychczas opublikowano online:

1. Mężczyzna rodzaju żeńskiego, Joanna Russ
2. Engines of Light t. 1 – Wieża Kosmonauty, Ken MacLeod
3. Jesienna Rewolucja t. 1 – Gwiezdna Frakcja, Ken MacLeod
4. Jesienna Rewolucja t. 2 – Kamienny Kanał, Ken MacLeod
5. Jesienna Rewolucja t. 4 – Droga do Gwiazd, Ken MacLeod
6. Jesienna Rewolucja t. 3 – Oddział Cassini, Ken MacLeod
7. Radykalne, Cory Doctorow
8. Odchodząc, Cory Doctorow

Projekt serii jest przygotowywany dzięki Wolnemu Oprogramowaniu. Zestaw narzędzi składa się z:

— Ubuntu 20.04 Ogniskowa Fossa – system operacyjny
— OmegaT – narzędzie wspomagające tłumaczenie (CAT)
— translate-shell – narzędzie do tłumaczenia w Google Translate przez terminal
— Glosbe – największy słownik online
— Wikipedia – podstawowe źródło tłumaczeń pojęć technicznych, politycznych i ekonomicznych czy not biograficznych
— LibreOffice – przetwarzanie dokumentów
— pandoc – uniwersalny konwerter dokumentów
— LaTeX – redakcja, skład i łamanie dokumentu
— sigil – przetwarzanie plików ebook
— calibre – konwersja plików ebook

Spis treści

Przedmowa 2
Interstellar Workers of Wide World Web 3
Warszawa 2050 20
Zielone powstanie 44
Pomiasto Warszawa 50
Gwiazdy 84
Nostalgia 89
Siódme twierdzenie Turinga-Tarskiego 92
Rok z życia Rewolucjonisty 101
Seria „Czarna Flaga” 130